



N^o 384.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 2 lutego 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie.
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Gniazdko, poezya (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Przegląd teatralny. — Rozmaitości. — Wyprawa pana Prota (z 4ma drzeworytami) Dokończenie. — Pobieźny rzut oka na niektóre zamczyska i tak zwane góry sypane w okolicach Suwałk (3ma drzeworytami). — Szachy.—Rebus. — Józef Lubowski (dokończenie). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Pierwsza pacjentka. (Powieść). Dalszy ciąg. — Przegląd piśmienniczy. — Helena (Powieść). Dalszy ciąg.

GNIAZDKO.

O! ty życie rodzinne,
Gdzie twoje wspomnienia?

Gdzie sny twoje dziecinne?
Gdzie wiosenne pienia?...
Kiedy byłam dziewczętką,
Codzienną uciechą
Było dla mnie gniazdeczko
Pod domową strzechą.

Raz, pamiętam, okropnie
[niebo się zachmurza,
Biją gromy po gromach —
[modlimy się z matką...
Równo z końcem modlitwy
[ucichła i burza,
Bieżym patrzeć z jaskół-
[czą co się stało chatką,
I matka moja z nami na
[ganku zasiada,
Spojrzy w górę, pod strzechę,
[czy gniazdo zobaczy...
Aż ono jęj pod nogi zburzo-
[ne upada,
A jaskółki odlecają z okrzy-
[kiem rozpacz! —
Co tu robić?... Pisklęta bie-
[żym podnieść z ziemi,
Żyjają... ale bez pierza. Gdy
[w łzach nad niemi
Wspólnie że mną i matka i
[siostry się smuć,
Matka, nasza, pomimo domo-
[wych okrzyku,
„Że do nowego gniazda ja-
[skółki nie wróca,
„Że poginą pisklęta“ —
[w malutkim koszyku
Składa je w ciepłym puchu
[i pod dach zawiesza,
A idąc na spoczynek, nas
[dzieci pociesza,
Że powrócą jaskółki.

Po no-
[cy, nad rankiem,
Cały dwór zbiegł się z wiel-
[kim podziwem przed gan-
[kiem,
Niezwykłym, na dzwycza j-
[nym zwabiony widokiem;
Bo nietylko rodzice wró-
[cili do dzieci,

Lecz za niemi jaskółek cała chmura leci,
I nawykłe pracować pod człowieka okiem,
Rade mieć go za świadka obecnej radości,
A cieszą się serdecznie, i tłumnie, i gwarnie

Cała się rzesza razem ku pisklętom garnie,
A ich śpiew, to ku Bogu cały chór wdzięczności,
Leci jak hymn poranny.

Minał lipiec, już sierpień skwarny się zaczyna,
Nie myśli o wylocie jaskółcza rodzina,
Głucha na głos żurawi, na śpiew towarzyszy,
W swym wygodnym pałacu wezwania nie słyszy,

I tak w nim przebawiła
[aż do końca lata,
A z pierwszemi przymrozki
[niechętnie odlata.
Gdy zaś wiosna wróciła, to
[z nią jaskółeczka,
A każda para proste ulepia
[gniazdeczka,
Rodzina ocalona z uczuciem
[wdzięczności
Wróciła do koszyczka i
[w nim znowu gości (*)

* * *

— O wy, co dogadzając
[chwilowej swawoli,
Po gniazda się wdzieracie na
[wysokie drzewa,
Niepomni że i Bogu i lu-
[dziom ptak śpiewa,
Bez uwagi że krzywda każda
[srogo boli,
Wspomnijcie na gniazdecz-
[ko jaskółcze, a sami
Postanówcie nie krzywdzić
[ni ptasząt, ni ludzi.
Gabryela Puzynina.

Kronika tygodniowa.

Wiść chodzi, że dyrekcya teatrów warszawskich, oceniając zasługi pana Królikowskiego, zamierza urządzić na jego korzyść benefisowe przedstawienie. Królikowskiemu słusznie się to należy, zwłaszcza po benefisach jakie już miały miejsce w roku zeszłym na korzyść pp. Żółkowskiego, Turczyłowicza i t. p. Tym sposobem nastęrczy się pole publiczności, wynagrodzenia zasług artysty, którego uważać można za prawdziwą



Układ i rysunek Henryka Pillatego.

Gdy rzesza się dziwi,
Krzyżują się w powietrzu rodzice szczęśliwi;
Matka karmi pisklęta, a pośród ich krzyku
Ojciec spieszy sklepienie dorabiać w koszyku.

(*) Przez pięć wiosen powtarzał się powrót tego samego (jak się domyślano) pokolenia jaskółek, aż do zniesienia starego domu, a z nim i jaskółczego gniazda.

ozdobę sceny naszej. Jak nas upewniano, pani Bakałowiczowa ma również otrzymać podobnego rodzaju wynagrodzenie, które z kolei innym także utalentowanym i zasłużonym artystom sceny naszej udzielonem zostanie, a w liczbie ich, według głosu opinii publicznej, jedno z pierwszych miejsc zająćby powinni pp. Rychter i Keller.

Radzilibyśmy jednak beneficjentom, dla własnej ich korzyści, postarać się o nowe, a głównie poważnej treści sztuki, które przy tej przynajmniej sposobności będą mogły wyjednać sobie wejście na scenę naszą. Wybór nie łatwy, tém bardziej iż trzeba ażeby w tych nowych sztukach talent beneficjanta w całym zabłysnął blasku. Dlatego pragnęlibyśmy żeby unikano wszelkich błahych drobnostek, które w żadnym razie zasługi znakomitego artysty nie mogą we właściwym przedstawić świetle. Niech to będą choćby przekłady dzieł uznanej już wartości, a wszakże rozpatrzywszy się w europejskiej dramatycznej literaturze, znajdzie się ich niemało, jest więc w czém wybierać. Bo skazywać publiczność na benefisowe wysłuchanie roli, której już każdy prawie wyraz, każdy gest, każde poruszenie wraziły się w pamięć słuchaczów, jest to nadużywać po części chętnego jej poparcia i narażać się na utratę współczucia, długoletnią pracą i mozolnymi studjami nad sztuką zarobionego. Mamy nadzieję że te wyrazy nasze wzięte zostaną pod rozwagę przez beneficjentów i że zechcą z nich stosowny wyciągnąć użytek.

* * *

Czytaliśmy w tych dniach ogłoszenie, następczące pole do dość obszernych wniosków. Pod oznaczonym adresem znajduje się kompletny ubiór słubny do sprzedania. Jakiż dramat albo komedia zmusza pannę młodą do pozbycia się tego ubioru, do którego zwykle przesadną prawie przywiązuje się wartość. Któż to odgadnie?...

* * *

Nieraz spotykaliśmy się ze zdaniem, że ogół, niebardzo przyzwyczajony u nas do drukowanego, wierz w nie chętniej niż gdzieindziej.

Być może, ale zaraz za tém następcza się pytanie, dlaczego prasa u nas tak słaby wpływ wywiera?

Bo nie tajmy tego przed sobą, że lubo nieraz pisma publiczne u nas pomieszczają najbawienniejsze rady, najużyteczniejsze przestrogi, wszystko to mniej więcej spotyka los grochu o ścianę rzucanego.

Więcej powiemy: nawet śmieśność nie pomoże; ludzie rozśmiejają się z karykatur, nagniewają się czasem na dowcipy i pójdą dalej swoją drogą.

Ileż to razy pisano już o konieczności przyzwoitego zachowywania się w miejscach publicznych zebrań.

Rzeczywiście niepoprawni jesteśmy pod tym względem, i niema może miasta, w którymby jednostki mniej zwracały uwagi na dogodność koniecznie ogółowi przynależną, aniżeli tutaj.

Na dowiedzenie tego dość będzie wziąć pierwsze co pod ręką, ot naprzykład koncerta Bilsiego.

Od pewnego czasu koncerta te dosyć są uczęszczane i słusznie, bo Bilsie to sumienny dyrektor orkiestry, który nie chce napróżno wyłudzać zapłaty, a z zebrań muzycznych przez niego urządzanych, nietylko zabawa, ale i pożytek dla wykształcenia muzycznego wypłynąć może.

I byłoby tak niezawodnie, gdyby nie fantazje niektórych uczęszczających na te koncerty. Przyszli oni tam dla siebie tylko i siebie znają jedynie. Chodzą, posuwają krzesłami, rozmawiają głośno, słowem zachowują się jak w kawiarniach albo cukierniach, gdzie hałas i ruch bezustanny grze bilardowej wcale na przeszkodzie nie staje.

Jakaś pani uznała za stosowne przynieść ze sobą pieska na symfonię. Bardzo to pięknie z jej strony, że tak okazuje się dbała o wykształcenie muzyczne tego ulubionego zwierzęcia; ale pieskowi sprzykrzyła się wkrótce bezczynna rola słuchacza i rozpoczął gorliwy akompaniament, niebardzo jakoś zgodny z motywami przez orkiestrę odgrywanymi.

Ponieważ na te koncerty uczęszczają osoby wszelkiej płci i wieku, bardzo niestosownymi także okazują się rozmowy toczone się pomiędzy słuchaczami niezważającymi na sąsiedztwo. Bo mniejsza już

o to, że przeszkadzają słyszeć, ale przedsięwziętym sposobem pewien rodzaj wykładów publicznych, bez których możnaby się obejść jaknajbezpieczniej.

Tyle o Bilsie; ale trzeba przyznać że w teatrze jeszcze gorzej.

Już nie przy ostatniej scenie, ale w środku kończącego się aktu, większa część publiczności myśli o rejteradzie.

Jak tylko okazuje się jakaś wskazówka że Numa pójdzie zu Pompiliusza i że tym sposobem rozwiązanie zbliża się do końca, nastaje ogólne poruszenie.

Kilka dni temu byliśmy na przedstawieniu, na którym, w chwili gdy kilka jeszcze scen do ostatecznego rozwiązania pozostało, wiele już miejsc było opróżnionych.

A dzieje się to z niezwykłym hałasem, szurganiem krzeseł, ciągłym otwieraniem i zamykaniem drzwi i naprowadzaniem tym sposobem do sali przepelnionej widzami, pragnącymi sztuki wysłuchać do końca, nieznośnych, a czasem niebezpiecznych przeciągów zimnego powietrza.

Nie pomaga ani głośne sykanie, ani wyrzekanie ofiar deptanych w pośpiechu przez tych ichmościów, dbających wyłącznie tylko o wygodę własną.

Doprawdy, jest coś nieucywilizowanego w tém postępowaniu. Osoby te wchodzą sobie z wielkim rumorem, rozweseleni sowitą widoczną libacją, po zaczęciu sztuki, nie dbając że ścieśniają przez to swobodę słuchania innych, którzy tak samo jak i oni za miejsca swoje zapłacili. Tacy ichmoście cały prawie czas przedstawienia uważają za pole do krasomówczych popisów i dowcipnych uwag, które daleko stosowniejszymi byłyby na ulicy, albo w miejscach gdzie zwykłą swoją zakładają rezydencją; a potem, dla uprzedzenia innych w dostaniu paltotów i przeciśnięciu się do wyjścia, całą salę w ruch wprawiają.

* * *

Znane jest dobrze przysłowie: nie suknią zdobi człowieka, ale człowiek suknię.

Tymczasem nieraz na świecie przeciwnie się zdarza.

Zamożny i znany tu przemysłowiec miał wielu przyjaciół. I nie dziwnego, lubił bowiem żyć dobrze, przyjmować u siebie, a nie wzdragał się nawet od piędznych przysług, które, zwłaszcza gdy termin oddania nie jest ściśle oznaczony, jedną przychylności jeżeli już nie tych którzy z nich korzystali, to przynajmniej takich którzy myślą jeszcze korzystać.

Więc temu szczęśliwcowi, otoczonemu ogólną sympatją, życie mlékkiem i miodem płynęło.

Aż przyszły ciężkie chwile. Kredyt był utrudniony, wypłaty nie dopisały, a życie nad stan nadwęgżyło fundusze i przemysłowiec nasz został bez grosza, a zatem bez przyjaciela.

Widziano go chodzącego po mieście w wytartym ubiorze, a ci którzy dawniej ubiegali się o uścisk jego ręki, w ślad za którym szło zwykle zaproszenie na śniadanko lub obiadek z pogadanką przyjacielską, odwracali się teraz od chudeusza.

Pewnego jednak razu jeden z tych dawnych przyjaciół, obecnie krótkim wzrokiem obdarzonych, spotkał go na ulicy i z wielkim zdziwieniem ujrzał na nim nowe ubranie, zdradzające jawnie pochodzenie z arystokratycznego krawieckiego warsztatu.

— Musiała się karta odwrócić, pomyślał on sobie. Może odzyskał fortunę i będzie po dawnemu; warto by się zbliżyć do niego i spróbować odnowić stosunki.

W ślad za myślą poszedł czyn, a skutkiem tego było zaproszenie odświeżonego w ubraniu przemysłowca na przyjacielski obiadek, który spodziewano się z lichwą kiedyś mieć odplaconym.

O oznaczonej godzinie zaproszony przybył, przybrany urzędowo w nowy czarny frak, co jeszcze bardziej utwierdziło przyjaciela w przekonaniu o nagłym zwrocie fortuny.

Obiad był wcale smaczny, a na deser podano jakieś ciasta nowego wynalazku.

— Proszę cię jédz, mój przyjacielu, rzekł amfitryon, widząc gościa odsuwającego półmisek podawany mu przez lokaja, to bardzo smaczne i umyślnie dla ciebie przyrządzone.

— Dziękuję ci, mój frak już nie głodny, odpowiedział gość.

Teatr Rozmaitości. — Żony uczonych. krotchwila we dwóch aktach przez Edwarda Lubowskiego oryginalnie napisana.

Jakkolwiek krotchwila ta jest pierwszą sztuką pana Lubowskiego przedstawioną na scenie naszej, publiczność lwowska i krakowska jest już dobrze oswojona z jego nazwiskiem jako autora dramatycznego. Z kilku sztuk głównie na scenie krakowskiej przedstawianych, miały powodzenie dwie większych rozmiarów komedye *Karyery* i *Protegowany*, a krytyka (zwłaszcza o pierwszych z nich) w dość pochlebnych odzywała się wyrazach.

Pożądaném byłoby żeby i u nas pierwsze swoje wystąpienie pan Lubowski rozpoczął był od poważniejszej pracy. Zbieg okoliczności chciał inaczej.

Krotchwila jest tém w sztuce, czém tak zwana szarża w malarstwie. Nie szukajcie w niej ani charakterów, ani typów nawet. Są to olbrzymie karykaturalne głowy, na drobnych korpusikach umieszczone, ciała bajecznych zarysów i wygięć, słowem, zbiór niedorzeczności i kaprysów różnych, składających się na postać ludzką, której głównym przymiotem jest to, że do śmiechu pobudza. Bo śmiech i zabawa, to wyłączny prawie cel tych karykaturalnych fantazyj; nie szukajcie w nich ani prawdy, ani tendencji, ani węzła dramatycznego, ani konsekwentnego obrobienia. Kto tego wszystkiego wymaga, niechaj nie idzie na krotchwilę. Sztuka to wyłącznie dla publiczności tak zwaną niedzielną utworzona, która przychodzi śmiać się do teatru, śmiać się bezwarunkowo i koniecznie, a gotowa nawet w tragedyi, gdyby jej tragedya dano, miejsce dwuznacznych i śmiesznych wyszukiwać.

W miastach zasobnych w większą liczbę teatrów, jeden a czasem kilka z nich wyłącznie służą do krotchwil, a publiczność uczęszczająca tam wie czego się spodziewać i po co przyszła. Nic ją nie zdziwi, nic nie zgorszy, nic nie odstraszy. Najpotworniejsze wybryki umyślnie karykaturującej się fantazyi półknie ona gładko i wdzięcznie, bo to dla niej codzienny kęs chleba.

Ale tam gdzie sztuka jest zacieśniona na obszarze dwóch scen, albo nawet jednej, krotchwila, czyniąc wyłom dla siebie, spotka się oko w oko z wymaganiami tak ukształczonej części publiczności, jak i krytyki, i często cofa się przed niemi, nie mogąc wytrzymać nierównej walki. Nie jest to tyle nawet jej winą, ile miejscowych okoliczności i stosunków.

Tak się potrosze stało i ze sztuką pana Lubowskiego.

Żony uczonych bawią, o tém wątpić nie można; dowodem tego publiczność licznie uczęszczająca do teatru na przedstawienia tej sztuki. Przemawia to na korzyść talentu pisarskiego i werwy komicznej autora, który tym razem chciał się zniżyć do napisania takiej błahostki, która żadną miarą wymagał krytyki wytrzymać nie może, a zdaje nam się że nie ma nawet pretensyi do tego. Przed wyrzeczeniem jednak potępiającego wyroku, przypomnijmy sobie że Fredro napisał Nowego Don Kiszota i Gwałtu o się dzieje, że i w tych wybrykach dobrego humoru znakomitego naszego pisarza znajdują się ustępy, do których wysłuchania publiczność, jak to mówią, powinna by z sobą do teatru wzięć do uszów przynosić. Prawda, że Fredro dał nam także Przyjaciół, Śluby panieńskie, Zemstę, ale powtarzamy, nie pana Lubowskiego jest winą, że pierwsze jego wejście na scenę naszą Żony uczonych inaugurowały.

Wypowiedzeniem tego wstępu uwolniliśmy się już poniekąd od zdawania sprawy z samą sztuką. Rzecz się dzieje w małym miasteczku, bo gdzie tylko przesadzone śmieśności występują na widownię, tam małe miasteczko znajdzie się zawsze pod ręką. Ci uczeni, to aptekarz i chirurg (pp. Chomiński i Damse), którzy pogrążeni w dumaniach nad urojonymi odkryciami, zapominają o młodych i pięknych żonach (panny Urbanowiczówna i Szczebrowska). Więc te panie biorą się na różny sposoby obudzenia zazdrości mężów, a z pojawieniem się młodego kuzyna, oficera od huzarów (rzecz dzieje się w Galicyi) którą to rolę odegrał pan Tatarkiewicz, udaje im się to za pomocą śpiewów, tańców i szaleństw, które tylko w krotchwili mogą znaleźć usprawiedliwienie. Niczego tam nie brakuje ze zwykłych śmiesznych

przyborów; są i dość udatne śpiewki, i jakający się sędzia, (pan Panczykowski, wyborny jak zawsze), i zagapiony protokulista (pan Adler), i romans bardzo dobrze przez panią Borkowską przedstawionej służącej z luzakiem (panem Grzywińskim), i marsze, i pałasze, i kieliszki, i toasty, i zreczne kostiumy wojskowe dla kobiet, i szalony jakiś walc całego towarzystwa, i nawet parę zbyt pokąźnych dowcipów, które autor, uwzględniając przyjazne rady, wykreślił zaraz w drugim przedstawieniu, a na które zbyt ostro przez grających położony nacisk, niepożrebnie do uwydatnienia ich podczas pierwszej reprezentacji posłużył. Sens moralny tego, że żadną miarą autorowi odmówić nie można pojęcia sceniczności, dowcipu i zdolności pisarskich dramatycznych; że jednak wolelibyśmy widzieć wszystkie te przymioty na innem, poważniejszem użytkowane polu. Ale z jakąż to łatwością najznakomitsi nawet pisarze od farsy do komedyi w całym znaczeniu tego wyrazu przychodzą. Trzeba czasem dać folę i karnawałowemu śmiechowi, idzie tylko o to, żeby w stosowną porę to przypadło, bo karnawał nie jest życiem, ale chwilą szauu.

Czekamy na znak prawdziwego życia i nie wątpimy o tym, że pan Lubowski niedługo da nam czekać.

Pan Chomiński rolę chirurga odegrał bardzo starannie, podwyższył ją nawet wyrobieniem z niej charakteru karykaturalnego wprawdzie, ale zawsze charakteru. Pan Damse, mniej szczęśliwy w roli aptekarza, pozostał tylko przy karykaturze. Obydwaj jednak powinni być choć trochę powierzchownością swoją usprawiedliwić troskliwość żon o odzyskanie prawa do ich serca. Nawet w krotchwili trochę prawdopodobieństwa nie zawadzi.

Panny Urbanowiczówna i Szczebrowska zanadto pamiętają o swoim przebraniu, zamało zaś o prawdziwym położeniu żon i kobiet, w najdrażliwszym uczuciu godności osobistej obrażonych. Dobreby to było, gdyby naprawdę grały rolę mężczyzn i huzarów; ale takie przypadkowe przebranie, niech będzie choć usprawiedliwione niepewnością ruchów, nieufnością i obawą zacnych kobiet, zmuszonych uciekać się do tak hazardownego środka. Grze pana Panczykowskiego i pani Borkowskiej oddaliśmy już należne pochwały. Panu Tatarkiewiczowi, lubo gra jego była staranna, życzylibyśmy trochę więcej wesołej swobody w ruchach. Pan Grzywiński, jako żołnierz, utrzymuje dobrze tradycją tego rodzaju charakterów, zaszczerpionych na scenie naszej przez Fredrowskiego Grzesia.

W ogóle dodać należy, że w sztukach tego rodzaju jak Żony uczonych, z samej już natury rzeczy grzeszących przesadą, artyści powinni ratować autora stosownym gry umiarkowaniem, szczególnie przez niekładzenie nacisku na niektóre drażliwe miejsca. A tutaj niezawsze i nie u wszystkich się to zdarzało.

W. Szymanowski.

Przegląd polityki zagranicznej.

31 stycznia.

Telegramy tureckie z dnia 23 stycznia doniosły, że powstanie na wyspie Kandya zupełnie przytłumionem zostało, dodając że ochotnicy złożyli broń i tłumnie odpływają do portów greckich. Wiadomość ta nie sprawdza się dotąd, a nawet zdaje się że zupełnie jest zmyśloną, dzienniki bowiem belgijskie i Times angielski nie o niej nie wiedzą i wprost przeciwnie głoszą wieści. Według korespondencji ateńskiej Timesa powstańcy wzięli do niewoli Mustafę baszę, z ateńskich zaś dzienników dowiadujemy się, że powstanie na Kandya, pomimo doznawanych przerw z powodów klimatycznych, organizuje się coraz silniej i przystępuje do utworzenia rządu tymczasowego. Według tychże dzienników w dniu 5 stycznia w powiecie Selinos zajęć miała żywa dwugodzinna utarczka, z której Grecy wyszli zwycięsko. Jednocześnie z tym wszystkim zgromadzenie kreteńskie, w liście swym do agentów dyplomatycznych, zapewnić miało że powstanie nie upadło i że Turcy fałszywe głoszą sprawozdania. Le Nord utrzymuje, że i w Tessalii powstanie wzrasta i że dzienniki francuskie raźnie utrzymują, jakoby w tych okolicach panowała spokość. Twierdzenie le Norda opiera się głównie

na tém, że Porta zwołuje 150,000 rezerwy, pomimo iż skarb jej jest pusty, co rzeczywiście najlepszym jest dowodem iż obawia się ruchu chrześcian i me lekceważy położenia. Memorial diplomatique zapewnia, że nadzwyczajni posłowie, wysłani do mocarstw europejskich przez Greków, domagają się aby wyspy Cykladzkie, Kandya i część Tessalii przyłączoną została do królestwa greckiego. Depesze paryskie doniosły, że Józef Karam opuścił Syryę na statku francuskim. Wiadomość o ustępstwach uczynionych przez Portę na korzyść Serbów była przedwczesną.

Opinia publiczna we Francji dotąd zajmuje się przeważnie badaniem natury nowoudzielonych przez rząd reform. Każde stronnictwo zapatruje się na nie ze swego wyłączonego stanowiska, według swych dążeń i celów, ostatecznie wszakże wszystkie zgadzają się zaczynają na to, że krytyka byłaby przedwczesną i że dopiero w rozwinięciu i praktyce osądzić będzie można rzeczywistą tych reform doniosłość. Z tém wszystkiém plotki polityczne nie ustają, szczególnie zaś w przedmiocie zmiany gabinetu, t. j. wprowadzenia do rządu więcej liberalnej barwy, w przypuszczeniu że dotychczasowi ministrowie nie mogą z osobistych pobudek popierać to, czemu byli zawsze przeciwni. Monitor z d. 27 b. m. zamieścił dekret cesarski, mocą którego otwarcie posiedzeń senatu i ciała prawodawczego nastąpić ma w dniu 14 lutego, rząd zaś tymczasem zajmie się skróceniem programu polityki swój zagranicznej, ułożeniem prawa drukowego i t. p. Jako pogłoskę mogącą się urzeczywistnić; zanotować możemy wieści obiegające w dziennikach niemieckich o zamiarze cesarza Napoleona wejścia w ścisłe przymierze z Belgią, Szwajcaryą i Niderlandami. Gdyby rządowi francuzkiemu udało się zawarcie przymierza z temi krajami nie tylko pod względem handlowych, lecz i militarnych stosunków, to doprowadzenie tej idei do skutku zabezpieczyłoby granice cesarstwa lepiej od wszelkich możebnych ustępstw terytorjalnych.

W dniu 23 stycznia cesarz Franciszek Józef przyjmował deputacyą sejmu węgierskiego, wysłuchał ją łaskawie i oświadczył że gotów jest spełnić życzenia Węgrów, gdy tylko obie strony poufnie usuną trudności przeszkadzające dotąd mianowaniu osobnego gabinetu. Tak więc pojednanie korony z Węgrami nader jest bliżkiem, wątpić bowiem należy aby sejm peszteński odrzucić miał tak ważne przywileje, dla drobnych ustępstw, wywołanych koniecznością ogólnego położenia monarchii austriackiej. Z tém wszystkiém pojednanie z Węgrami wpłynąć musi i na stosunki z resztą krajów koronnych, jak to widzimy już dziś z tonu dzienników wiedeńskich, zapowiadających że gabinet p. Beust wystąpi z nowemi dla wszystkich prowincyj ustępstwami. Mówią nawet że sam gabinet ukształtuje się według stronnictw, i tak: P. Beust będzie ministrem spraw zagranicznych i prezesem rady; p. Kaiserfeld ministrem stanu; Belcredi policji; Herbst oświecenia; Giskra sprawiedliwości; Rieger robót publicznych; Potocki handlu. Zanotowaliśmy te pogłoski, lecz nie ręczymy za ich wiarygodność. Tymczasem p. Belcredi zajmuje się nowem urządzeniem krajów niewęgierskich pod względem administracyjnym. Między innemi dziennik urzędowy Wiener Ztg. podał patent rozdziałający Galicyę, Lodomerję, w. ks. krakowskie z Oświęcimem i Zatorem na 74 powiatów, podlegających jednemu namiestnictwu, rezydującemu we Lwowie. Reforma ta wejść ma w wykonanie w dniu 28 lutego r. b., a celem jej zaprowadzenie rozdziału sądownictwa od administracyi. Wybory do nadzwyczajnej rady państwa odbywają się na całym obszarze monarchii, z wielkiem, jak dotąd, dla Słowian powodzeniem.

Ostatnie depesze. Ateny 27 stycznia. Telegram urzędowy zawiadamia, że po uporczywej walce pod Apokoronos 1500 Turków wyładowało, lecz nie zdołali sforsować wąwozu Hagiarumeli. Mustafa basza obsadził brzegi (a więc nie jest wzięty do niewoli). Powstańcy nie przyjęli propozycyi Mustafy.

Berlin 29 stycznia. Książę Turn i Taxis odstąpił Prusom swe prawa pocztowe wraz z inwentarzem, za 3 miliony talarów. Generał Manteuffel, gubernator Szlezwiugu, uwolniony czasowo od obowiązków dla słabości zdrowia. Miejsce jego zajął generał Manstein. Nord Allg. Ztg. oświadcza, że wieść jakoby Prusy żądać miały wyjaśnienia co do ruchu wojsk austriackich, jest zmyśloną.

Tulon 27 stycznia. Flota francuzka udaje się do Beyrutu.

Nowy York. Prezydent Johnson zezwolił na zwołanie kongresu Stanów Zjednoczonych na dzień 4 marca r. b.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

ROZMAITOŚCI.

Złąd powstały u nas tak zwane szopki, pokazywane od Bożego Narodzenia.

Ponieważ zwyczaj ten w Encyklopedyi powszechnej pod wyrazem *Jasełka* nie jest dostatecznie objaśniony, dla uzupełnienia przeto wspomnianego artykułu, podajemy wiadome nam szczegóły.

Początek jasełek czyli szopek odległych sięga wieków. Powstały one bowiem najprzód w kościele katolickim z samego obrazowania wydarzeń będących podstawą świąt w okresie Bożego Narodzenia oznaczonych. Otóż owe wydarzenia, ściągające się do narodzenia, dziecięstwa i młodości Chrystusa, uważano za stosowne dla pojęcia dzieci plastycznie wydatnić w urządzanych po kościołach jasełkach.

Pierwszy do nich pomysł podał św. Franciszek z Assyżu, żyjący we Włoszech od 1182 do 1226 roku. Zjawiły się one tedy najprzód w całej Europie po kościołach będących pod zarządem zakonników reguły św. Franciszka, a z nimi przeszedł ten zwyczaj i do nas.

Podług notat jakie posiadamy do historii Warszawy, najdawniejsze jasełka wystawiane były w kościele św. Anny przy Krakowskim przedmieściu, gdzie pokazywano nadto już nie w kościele, ale w izbie gościnnej przy furcie klasztornej kołyjską Chrystusa Pana. Była to kolébka suto w kwiaty i bogate materje przystrojona. W kolébce leżała osóбка P. Jezusa, miary zwyczajnego dziecięcia, a nad nią stały figury N. Panny i św. Józefa. Wystawiano ją raz w rok w sam dzień Bożego Narodzenia, w którym to czasie odbywały się przy niej śpiewy i grała muzyka. Najpiękniejsze atoli jasełka ruchome pokazywano jeszcze na początku zeszłego stulecia w kościele św. Antoniego przy ulicy Senatorskiej. Była tam urządzona szopka, w której lalki na sprężynach wyprawiały rozmaite sceny z historii narodzenia Pańskiego. Lecz gdy często zaczęto przystępować niesmaczne dziwolągi, obrażające przybytek święty, z tego względu zakazał je najsurowiej ówczesny biskup Czartoryski, nie tylko w Warszawie po wszystkich kościołach, ale i w całej diecezji, dekretem wydanym w r. 1741. Za jego przykładem zakazywali podobnych przedstawień i inni biskupi. Zaczem ruchome jasełka, zupełnie z kościołów usunięte, przeniosły się do prywatnych domów i zakładów przemysłowych. Takie prywatne jasełka były w r. 1749 na Pradze pod Warszawą w domu obywatela tamtejszego Zawadzkiego. Składały się one z tysiąca figur, wyprawiających obok nabożnych i świeckie najzabawniejsze sceny, na których oglądanie spieszyła cała Warszawa.

Przeistoczone w ten sposób jasełka, zamieniły się z czasem na obnoszone po ulicach szopki, które właściwie są pomysłem francuzkim. Niejaki bowiem Jan Brioché dentysta w Paryżu, będący w krytycznym położeniu, aby się z kłopotów wydzignąć, wpadł na myśl nowego zarobkowania, urządzając w r. 1680 przenośne jasełka, i z takimi szopkami zwiędzał Francją i kraje okoliczne, gdzie dużo zarobił pieniędzy. Tak zaś były zreczne i sztuczne w tych szopkach przedstawienia, że w Szwajcaryi oskarżono go o czary i wzięto do więzienia, z którego wtedy dopiero został uwolniony, gdy wyjaśnił mechanizm swoich lalek.

Brioché umarł w r. 1700, lecz szopki jego miały już wziętość ustaloną, a coraz dalej rozpowszechniając się, ukazały się obnoszone po ulicach Warszawy pierwszy raz w r. 1701, jak to zapisał w swoich notatach obywatel tutejszy Janicki. Z początku współzawodnicząc z jasełkami po kościołach, przedstawiały one także wyłącznie sceny religijne, ale gdy tamte upadły, zaczęły włączać rzeczy świeckie, przepłatać je śpiewkami, naśladować przedstawienia teatralne i t. p. Wreszcie stopniami z rąk do rąk przechodząc, zeszyły na rodzaj przemysłu, który teraz wyzyskują dowcipni i obrotni ulicznicy warszawscy.

WYPRAWA PANA PROTA.

Humoreska

Józefa Blizińskiego.

(Dokończenie).

A z jakąż grał teraz swobodą, gdy miał widok przepędzenia w ten sposób całego wieczoru! Nic mu tego widoku nie mąciło, a myśl o jutrzejszej podróży, o żonie i o sprawunkach odganiał jaknajdalej od siebie. Bo safandula obawia się tylko niebezpieczeństwa które mu grozi bezpośrednio; odleglejsze rzekłbyś że dlań nie istnieje. Pod tym względem obdarzony jest dziecinnością i prawdą nieświadomością następstw swojego safandulstwa.

Pan Prot tak był rad z obecnej chwili, że nie irytował się nawet zbyt wielkim nieszczęściem w grze, które go prześladowało. Raz tylko, gdy nie dograł partii, mając sto trzydzieści, spojrzął na sufit i rzekł z niechęcią: „siedzę pod belką, czy co u sęka!” i przestawił krzesło na drugą stronę stołu.

To odezwanie się było jedyną protestacją przeciwko niewzględności fortuny, i gdy po kolacyi i herbacie wypadało udać się na spoczynek (bo nazajutrz postanowił wstać bardzo rano, i gospodarz i gość byli w wybornych humorach).

P. Romuald odprowadził p. Prota do przeznaczonych dlań pokoiku gościnnego. Gdy przechodzili

z uporem nietrzeźwego sługusa. Wielmożna pani mówiła...

— Mówiła niezawodnie żebyś się nie upił, rzekł zniecierpliwiony p. Romuald i wypchnął go za drzwi, gdzie słycać było jeszcze jego mrużenie, mające być protestacją przeciw zuchwałemu przypuszczeniu. Pokoik gościny do którego p. Romuald zaprowa-

— I mnie, co prawda, odrzekł p. Romuald, siadając przed kominkiem.

— To już będzie pewno trzeci miesiąc jak umarł... Panie przyjmij go do chwały swojej, rzekł p. Prot, oglądając się naokoło, jak gdyby zwracał uwagę cień, jeżeliby się tu znajdował, że pamięta o jego duszy.

— A tak, przed nowym rokiem, w sam dzień młodziankowy.

— Poczciwe człowieczysko! szkoda go, odrzekł p. Prot z tym samym znowu gestem.

— Zapewne! co on to nam nieraz naopowiadał, o tém i o owém.

— Aha! o swoich rezydencyach.

— Przymiłem wesoły był do samej śmierci. Pamiętasz sąsiad... tu, na tém samém łóżku...

— I co tam, dajmy pokój, przerwał p. Prot, nie naruszajmy nieboszczyków, pogadajmy lepiej o czém inném.

— Toć mu przecie nie ubliżamy... zaoponował p. Romuald.

Ale p. Prot nie chciał już wracać do tój materyi i zaczął o cenach zboża. Więc gawędzili tak jeszcze z godzinę, bo jakoś rozbięrał się nader wolno, i co zdjął z siebie jaką część odzienia, to się przysiadł do p. Romualda i

grzebał w kominie. Nareszcie gospodarza sen już zmorzył, więc bez względu na to, że p. Prot nie miał jeszcze ochoty kłaść się do łóżka, złożywszy mu życzenie dobrej nocy, wyszedł z pokoju.

Gdy p. Prot ujrzał się sam, doznał nadzwyczaj



...Siedzę pod belką, czy co u sęka!..

dził swojego gościa, znajdował się na tyle domu w przystawce, której drugą połowę zajmowała spiżarnia. Pan Prot znał go doskonale, tu bowiem przemieszkiwał przez lat kilkanaście zmarły niedawno staruszek, krewny p. Romualda, zwany przez

dził swojego gościa, znajdował się na tyle domu w przystawce, której drugą połowę zajmowała spiżarnia. Pan Prot znał go doskonale, tu bowiem przemieszkiwał przez lat kilkanaście zmarły niedawno staruszek, krewny p. Romualda, zwany przez



No, no, idź spać — rzekł p. Prot — pojedziemy jutro do dnia.



Pies warczał groźnie, ile razy p. Prot się poruszył.

przez kredens, p. Prot spostrzegł wyprostowanego na ich widok Mateusza ogrodnika, nateraz mającego pod swoją opieką sześć jendorów, przeznaczonych na sprzedaż do Włocławka, ale pomimo tego dowodu zaufania znajdującego się w stanie niekoniecznie trzeźwym, o czém świadczyły oczy zbielałe i wytrzeszczone, jak gdyby miały ochotę wyjść z opraw.

P. Prot nieprzyjemnie został dotknięty widokiem zaufanego sługi, bo zapomniał był zupełnie i o nim i o jendorach.

— A co ty tu robisz? zapytał.

— Czekam, proszę wielmożnego pana, odrzekł Mateusz.

— Za czém?

— Pewno pojedziemy; wielmożna pani mówiła, żeby...

— No, no, idź spać, rzekł p. Prot przerywając, pojedziemy jutro do dnia.

— A konie?

— Jakto konie? alboż nie wyprężone? zawołał p. Romuald.

— A nie, proszę wielmożnego pana; czekałem rychło pojedziemy.

— A to głupiec, no proszę... Wyprzegaj zaraz...

— Stańm na brykę pod ścianą za folwarkiem porzuciłem na przegrzykę trochę siana...

— To dobrze; a teraz wypręż do stajni i idź spać...

— Więc jutro rano dopiero? zapytał Mateusz

wszystkich dziadusiem; p. Prot w tym samym pokoju grał z nim nie raz, nie dziesięć w maryszka.

Na kominku palił się suty ogień, jak bywało za czasów dziadusia, i gdy weszli, naraz obudwom on sam przypomniał się, tak jakby go wczoraj wi-

niemilego uczucia; mimowoli obejrzał się po pokoju usiadł przy kominie i przyłożył na ogień parę kawałków drzewa, którego spore naręcze zostawił na szczęście Marcinek. Siedział tak z godzinę, usiłując rozweselić umysł płomieniem podsycanym troskliwie, ale to niewiele pomagało.

I dziwić się temu nie można. P. Prot nie był w tym pokoju od dnia w którym widział na marach dziadusia; cóż więc osobliwego, że gdy wszedł teraz, ten obraz nasuwał się jego rozdrażnionej wyobraźni.

Siedząc przed kominem, odwrócony tyłem do pokoju, co chwila z nerwowym ruchem oglądał się po za siebie, zdawało mu się bowiem, że nieboszczyk stoi gdzieś koło niego i chce go wziąć za ramię. Do tego, jak na złość, wiatr szumił na dworze, poruszając co chwila okiennicą źle przypasowaną i wygrywając w kominie jakieś fantastyczne nokturno. Na każdy niespodziany stuk lub skrzypnięcie okiennicy, mrowie przechodziło mu po skórze i włosy zdawały się podnosić, skutkiem dziwnego uczucia zimna w ich korzeniach. Przewidywał z niepoko-

jem, że bardzo złą noc przepędzi i nie wyśpi się na jutrzejszą drogę; więc złorzeczył z całego serca swojemu bałamuctwu.

Przywidzenie że ktoś stoi za nim i trąca go w ramię, było dlań tak nieznośne, że postanowił



...Gdy się obejrzał, ani jednego jendora na bryce nie było.

dzieli.

— Mój Boże! odezwał się po chwili p. Prot, rozbięrając się z pewnym ociąganiem, poczciwy dziadus! Wię sąsiadek, kiedyśmy weszli do tego pokoju, stanął mi na myśli jak żywy.

ładź co ładź położyć się w łóżko. Nakładłszy przeto co było drzewa na ogień, który buchnął jasnym i wesołym płomieniem, będącym w sprzeczności z grobową atmosferą napełniającą ten pokój, udał się do łóżka. Ale pościel w którą się kładł przeobrażała się w jego wyobraźni na mary, a na tych marach leżał dziadus, zupełnie jak przed trzema miesiącami. Ten widok tak mu się uprzytomnił, tak natarczywie stawał w myśli i przed oczyma, że pomimo ich gwałtownego zmrużania, sen ani myślał przybywać mu w pomoc, owszem, mimo własnej chęci i woli wpatrywał się w ogień komina, a wyobrażając sobie ciągle nieboszczyka na tém samym miejscu, na którym zamknął oczy na wieki, to jest na łóżku obok siebie, odmawiał za duszę zmarłego zdrowaśki, jak gdyby dla zaskarżenia sobie jej względności. Zarodzonego ojca nie wymodlił się tyle, co przez tę noc za poczciwego dziadusia.

Jak długo tak leżał, sam nie wiedział. Nareszcie, chcąc nie chcąc, przeszedł w ten stan napół senny, z którego gdyby go nagle obudzono, nie byłby zdolnym powiedzieć, czy spał czy czuwał. I w stanie tym widział najwyraźniej, jak drzwi będące wprost jego łóżka otworzyły się i wszedł niemi dziadus odziany białym prześcieradłem i stanąwszy w progu, kiwał na niego. Towarzyszyły temu widzeniu żalosne jęki i głuchy brzęk kajdan, który po chwili tak się wzmógł, że p. Prot ocknął się nagle i uniósł na łokciu. Chociaż przestraszony, z pociechą pomyślał że spał i że to wszystko było snem tylko; ale gdy oprzytomniawszy trochę spojrział przed siebie, włosy mu dębem powstały na głowie. Ogień w kominie wygasł, i tylko jedna głównia, tlejąc jeszcze przerywanym płomieniem, rzuciła na pokój blask fantastyczny. Przy świetle tém niepewnym p. Prot ujrzał rze-

że obudził go nie brzęk kajdan, lecz silniejsze stuknięcie okiennicy; że owe jęki pochodziły z komina, w którym wiatr grał po swojemu, wyjąc żalosnie; że wreszcie rolę dziadusia wziął na siebie wiszący przy drzwiach ręcznik, przygotowany na jutro do

drażnienia, że ani myślał zapuszczać się na pole dociekań; bezwiednie obrał inną drogę, to jest polecając się wszystkim świętym i swemu aniołowi stróżowi, nakrył się koldrą na głowę, z postanowieniem przeleżenia w tej pozycji do rana. I tak za niemałą zasługę policzyć można, że nie krzyczał, do czego miał już niezmyśloną ochotę; ale wstyd przemógł obawę i wolał być choćby uduszonym przez stracha, co wreszcie podpadało wątpliwości, aniżeli samowolnie narażić się na śmieśność.

Nazajutrz, gdy p. Romuald wstał o godzinie siódmej, pewny że jego gość gotuje się już do drogi, zdziwił się niepomału, dowiedziawszy się od Marcinka, który wziął obuwie i rzeczy do czyszczenia, że p. Prot śpi jeszcze w najlepsze. Zatarł ręce z ukontentowaniem, bo postanowił sobie zatrzymać p. Prota jak się da najdłużej, a okoliczności przychodziły mu same w pomoc. Więc najprzód przykazał Marcinkowi najsurowiej, aby ani zajął do gościnne-

go pokoju, a bojąc się żeby p. Prot nie obudził się z innej jakiej przyczyny, sam, pomimo niepogody, zaciągnął się na wartę pod jego oknem, spędzając z tego stanowiska drób, psy i ludzi. W ten sposób upłynęły ze trzy godziny, ku wielkiemu zadowoleniu p. Romualda. Nakoniec koło wpół do jedenastej p. Prot dał znak życia, przyzywając na całe gardło Marcinka. P. Romuald przetrzymał go jeszcze z kwadrans, bo był pewny że bez butów i odzienia nie wyjdzie; nareszcie, zacięrając ręce, wszedł sam do niego:

— Dzień dobry sąsiadowi, rzekł figlarnie, jakże się spało?

— Która to godzina? zapytał p. Prot, podnosząc się na łóżku i nie odpowiadając nawet na dzień dobry.

— Jeszcze nie tak późno.

— Ale! licha tam; każ sąsiadek z łaski swojej otworzyć okiennice.

P. Romuald zawołał Marcinka i kazał mu odłożyć okiennice, a potem przynieść drzewa na komin.

— Niech najprzód rzeczy przyniesie, prosił się p. Prot, namacawszy próżnię na krześle, gdzie był złożył odzienie.



ZAMCZYSKO TROJDENA, NAD JEZIOREM RAJGRODZKIEM (Rysował z natury Górnicki).



JEZIORO RAJGRODZKIE (Rysował z natury Górnicki).

umywania. Dodajmy że przed kominem stało krzesło pozostawione na tém miejscu od wczoraj, od którego padał cień wprost na ścianę, tam gdzie wisiał ręcznik; nic więc dziwnego, że z materya-

łów tych głównia dopalająca się w kominie, z pomocą migotliwego swego płomienia, urządziła ruchliwą fantasmagoryę, podobną w oczach p. Prota do nieboszczyka dziadusia, jak dwie krople wody do siebie. Ale p. Prot był w stanie takiego roz-

— Nic pilnego, zimno w pokoju, musi wprzód napalić.

W tej chwili uchyliła się okiennica i światło dzienne zajrzało do pokoju. P. Prot sięgnął pod poduszkę po zegarek.

— A! jak rany Boskie Kocham, to już jedenasta! W imię Ojca i Syna... a tom zasnął!

— Wielkie rzeczy. Bardzo się cieszę, że sąsiadowi dobrze się spało.

— E, gdzie tam! myszy czy szczury nie dały mi oka zmrzyć przez całą noc; zasnąłem dopiero nad ranem.

— Dziaduś nie przysnił się sąsiadowi?

— Nie, rzekł sucho p. Prot, patrząc w okno. Jakże tam na świecie?

— Paskudnie. Już to widzę że tak będzie do soboty...

— Tam do sęka! Niechże cię licho nie weźmie! zawołał p. Prot, wyskoczywszy z łóżka i zbliżywszy się w negliżu do okna.

— Nie zięb-no się sąsiad, rzekł p. Romuald. Niema nic pilnego, toć i tak przed obiadem nie puszcze.

— To, to, to... jeszcze czego...

— A naturalnie... już teraz wszystko jedno.

— Jak rany Boskie Kocham! rzekł p. Prot, powróciwszy do łóżka i otulając się kołdrą, com ja narobił! trzeba było wczoraj jechać... Zona tam czeka na owe sprawunki... Niechże cię licho nie weźmie!...

— Mnie ile razy żona da konotatkę do miasta, to albo udam żem zgubił, albo co innego kupię, i odzwyczałem ją tym sposobem.

— Ba! łatwo mówić, mruknął p. Prot przez zęby.

Na to wszedł Marcinek z nęczeniem drzewa; ale nim ogień rozpalik, nim rzeczy przyniósł, nim p. Prot się rozgrzał i wypiszy kawę, którą mu przyniesiono do łóżka, wziął się do ubierania, upłynęło czasu niemało, i gdy wszedł do pokojów gospodarstwa, było już blisko wpół do piérwszėj.

P. Romuald zaproponował parę partyj maryasza, nim podadzą obiad; p. Prot przystał, ale tymczasem posłał do Wacha z poleceniem aby zaprzęgał. W godzinę doniesiono mu, że Wacho pił od samego rana w karczynie, a teraz śpi w jakiejś dziurze, tak że go nie można znaleźć.

Ta wiadomość tak znękała i rozstroiła p. Prota, że gdy wkrótce podano obiad, jadł go prawie półgębkiem, co u niego było osobliwością. P. Romuald, jako gospodarz domu i przyjaciel, czuł się w obowiązku przyjścia w pomoc swoją radą.

— Po kiego licha, rzekł poufnie, masz sąsiad sam jechać do Włocławka. Posłać Mateusza i kwita!

— E! co sąsiadek gada!

— No, wielkie rzeczy, pójdzie do którego znajomego kupca z konotatką i weźmie co trzeba; piéniażde będzie miał przecie za jendory, a gdyby brakło, to pokredytują... tylko sąsiad kartkę napisz. Czy nie mam racyi?

Pan Prot potrząsnął głową.

— A zresztą, mówił dalej p. Romuald, niema czasu do stracenia; Wacho, jeżeli się spił, to się tak prędko nie pokaże, i dzisiaj już sąsiad nie będziesz mógł wyjechać... a Mateusz może wrócić najdalej na jutro przed południem.

U safanduly władze pojmovania i sądu o rzeczach są tak elastyczne, że komukolwiek bardzo łatwo przychodzi dociągnąć je na swoje miarę, w której tak długo trwają, aż przyjdzie kto inny i skurczy je albo rozciągnie podług swojego widzenia. Własnym siłom safandula pod tym względem nie dowierza i nie posługuje się niemi weale.

P. Romuald mówił tak pięknie, że przekonał zupełnie p. Prota; więc posłano po Mateusza, który wysłuchał wszystkiego z powagą, czując się podniesionym tym nowym dowodem zaufania, i odchodząc, rzekł tylko solennym tonem te proste słowa, którym nadał donioślejsze znaczenie przyłożeniem ręki do serca:

— Przecie *spodziewam się*, że dam sobie radę...

Te wyrazy, a więcej jeszcze ton jakim były wyrzeczone, uspokoiły zupełnie p. Prota, i był już najswobodniejszy do samego wieczora.

Niezadługo po odjeździe Mateusza, gdy deszcz nieco pofolgował, p. Romuald kazał przyprowadzić na dziedziniec deresza i przejeżdżać go pod oknami. P. Prot, jako koniarz, przyszedł do okna i patrzył.

P. Romuald zniechcenia zaczął wyszczególniać wszystkie dobre strony żrebca: wylamanie karku, odsadę ogona, zbiór nóg i t. d., a wmiarę jak mówił, wszystkie uprzedzenia p. Prota do deresza topniały jak śnieg wiosenny na słońcu, i ani się spostrzegł, jakim sposobem przyszło do handlu. W godzinę był już szczęśliwym posiadaczem tego konia, w zamian za faworytkę żony, złotogniadą, na którą p. Romuald dawno już zęby ostrzył.

Zakropiono litkup miodkiem domowego sycenia, na który przybył także ks. proboszcz, bo we wsi p. Romualda był kościół; a że zebrało się trzech amatorów preferansu, więc wieczorem zrobiono pulkę po trzy punkta na grosz, która przeciągnęła się aż do godziny jedenastej.

Gdy przyszło udać się na spoczynek, p. Prot przypomniał sobie o dziadusiowym pokoju i jego dziwach; zdobył się więc na energią i oświadczył stanowczo, że za żadne piéniażde spać tam nie będzie, z powodu sąsiedztwa ze spiżarnią, gdzie myszy i szczury zanadto dokazują. Posłano mu zatem w izdebce pisarza, któremu p. Romuald pozwolił wyjechać na święta do rodziców. Ponieważ do pokoju tego nie były przywiązane żadne wspomnienia, przeto już i mary zeszlonożne nie miały powodu dręczyć p. Prota, który zaledwie przyłożył głowę do poduszki, zasnął smaczno i spał przez całą noc jaknajlepiej.

Nazajutrz rano, a był to już wielki piątek, p. Romuald, obudziwszy się później niż zwykle, dowiedział się od Marcinka, który odnosił właśnie wyczyszczone rzeczy p. Protowi, że ten już nie spał i zaraz miał wstawać. Upłynęła wszakże blisko godzina, a p. Prot się nie pokazywał; więc zniecierpliwiony p. Romuald poszedł sam do niego.

Dochodząc do drzwi, usłyszał jakby jakieś nie-naturalne chrapanie i zląkł się, czy p. Prot przypadkiem nie zasnął; ale jakże się zdziwił, gdy wszedłszy do pokoju, ujrzał p. Prota jeszcze w łóżku, a na kołdrze leżącego w jego nogach psa, który wyszczerzył zęby i warczał groźnie, ile razy p. Prot poruszył się, chcąc wstać z łóżka.

— Wystaw sobie sąsiadek, zawołał gość ucieszony zjawieniem się gospodarza, co mi ten Marcinek narobił. Przyniósłszy rzeczy, wpuścił jakiegoś psa, który mi się nie da ruszyć z łóżka.

— Ha! ha! ha! to pies pisarza... hardy na swoich śmieciach. A pójdiesz, Bukiet! a na dwór!

Psisko, stuliwszy ogon, zeskoczyło na ziemię i wlażło pod łóżko, zkad je p. Romuald ledwo kijem wypłoszył i na dwór wypędził.

Oswobodzony tym sposobem, p. Prot ubrał się, i poszedł z gospodarzem na kawę. Pogoda się nie poprawiała, deszcz jak padał tak padał. Ten stan powietrza zdawał się oddziaływać na usposobienie p. Prota, który stracił humor zupełnie. Mateusza można się było spodziewać niezadługo, poczem wypadało już wracać do domu; a im bliższą była ta chwila, tém p. Prot był niespokojniejszym. Zaczynał zapytywać siebie, czy dobrze zrobił, posyłając na swoje miejsce do Włocławka Mateusza.

Nie mając co robić, sąsiedzi zasiedli do maryasza, i to rozerwało troszkę p. Prota; ale po południu nie mógł już grać w żaden sposób, tak nerwowo wyglądał powrotu Mateusza. Wszakże wyglądał napróżno; zbliżał się wieczór, a Mateusz nie przyjeżdżał. P. Prot poszedł z gospodarstwem domu do kościoła na passyą, lecz kazał sobie dać znać, jak tylko Mateusz się pokaże, bo nie wątpił że lada chwila nadjedzie. Ale i nabożeństwo się odbyło i noc zapadła, a o Mateuszu ani słycho. P. Prot nie wiedział co wnosić: przychodziło mu już na myśl, czy czasem, nie zrozumiawszy dobrze jego rozkazów, Mateusz prosto z Włocławka nie pojechał do domu, — i miał już ochotę pożegnać p. Romualda. Ale nuż nie? jak się pokazać żonie i paunie łowczanice bez Mateusza i sprawunków!? Ta wątpliwość gryzła niezmiernie p. Prota, i na spoczynek udał się znękany i upadły zupełnie na duchu.

Noc przepędził równie niespokojną, jak przed dwoma dniami w dziadusiowym pokoju, tylko że mary co go dziś dręczyły, były zupełnie innego rodzaju. Zona, deresz, łowczanka, jendory, Mateusz, złotogniada, wszystko to plątało się po jego mózgu i wyprawiało jakieś piekielne tańce, gmatwało się w jakieś wypowiedzieć się nie dające dziwolągi, jak to zdarza się nieraz we śnie gorączkowym. Śniło mu się przez całą noc coś, co go nękało, co mu

dokuczało niewypowiedzianie, a przecie obudziwszy się nie byłby w stanie powiedzieć, co mianowicie tak go dręczyło. Jedno tylko z tego snu utkwiało mu głębiej w umyśle i rozwinęło się w pojęcie, że żona i łowczanka kamienowały go kawałkami niezdarzonego ciasta i babami z zakalcem. Ktoby go był tej nocy słyszał, jak się przewracał na łóżku i jęczał przez sen, byłby go wziął za zbrodniarza, z którym sumienie załatwia jakieś stare porachunki.

Skutkiem tego wstał z okropnym bólem głowy, a gdy zobaczył Marcinka, zapytał go przedewszystkiem o Mateusza; miał nadzieję, pewność nawet, że zobaczy go przy swoim łóżku zaraz od rana, ale tém przykrzejszy był zawód, gdy się dowiedział, niestety! że Mateusz wcale nie przyjechał.

Pan Prot myślał że się przesłyszał i powtórzył zapytanie, a otrzymawszy kategorię tój wiadomości potwierdzenie, stracił zupełnie głowę. Przykawie o czém inném nie mówił, tylko o możliwych ewentualnościach Mateuszowej wyprawy. Czy pojechał do domu? czy też bałamuci jeszcze w Włocławku? Zdania były *pro* i *contra*; ale nikt nie byłby wziął na siebie odpowiedzialności za skutki jakiby nastąpiły, gdyby p. Prot powrócił do domu tak późno i jeszcze do tego bez sprawunków.

Nareszcie ks. proboszcz, który przyszedł święcić do dworu, zakonkludował, że jeżeli Mateusz pojechał wprost do domu, to się już stało: sprawunki są i już wszystko jedno, czy pan Prot przyjedzie na południe, czy na wieczór. Jeżeli zaś Mateusz jeszcze nie wrócił, to bez niego powrót p. Prota nie będzie... tak mile widziany, jakby to było w zwyczajnych okolicznościach. W każdym więc razie zaczekać można śmiało jeszcze chociażby do czwartej, a nawet piątej.

Pan Prot, uznawszy słuszność tych uwag, postanowił więc czekać jeszcze; ale humor miał już tak zepsuty, że nic go naprawić nie mogło. Usiadł wprawdzie jeszcze do maryasza, lecz grał jak fuszer, co piérwszy raz karty wziął do ręki. Skupował pamfila na początku gry, bił królem świętnym, nie czekając na czwórtdzieści, nie uważał jakie karty wychodziły, słowem po jednej puli musieli przestać grać.

Wstyd go było już nawet okazywać, jak go to wszystko obchodzi, i że poprostu boi się pokazać żonie. Jak mógł przeto politykować; światał, bawił się ze Stefcem, który mu szczypał policzki po francuzku, ale co chwila zbliżał się do okien, bębnił w szyby i kłął po swojemu: bodajeś trzysta dębów zjadł! niech cię licho nie porwie! kroć sto tysięcy pirogów! Ale ta parodia kłatwy, jak łatwo się domyślić, nie przynosiła mu najmniejszej ulgi.

Tak zeszło do godziny piątej wieczorem, i p. Prot kazał już zaprzęgać, gdy w bramie pokazały się konie i bryka, a na niej skulony, zmokły, skrzywiony jak nieboskie stworzenie Mateusz.

Panu Protowi zabiło serce gwałtownie, i zamiast, jakby kto inny zrobił, pójść wprost do Mateusza i rozpytać się o wszystko, udał że go nie widzi i schował się w kąć jakiś, aby ochłonać. Ledwo go znalezione i niemal przemocą przyprowadzono do bryki, na której siedział Mateusz, nie myśląc zlązić. P. Prot, stanąwszy przy bryce, wziął się pod boki:

— Gdzie ty siedział? rzekł — trzysta dębów zjadłeś!.. Ja czekam, czekam jak głupi, wyglądam... a tu ani posła, ani osła. No! gadajże!..

Ale Mateusz niepewną nogą zląził pomaleńku z bryki i ani myślał gadać; dostrzegł tylko p. Prot, że był zapłakany i nawet teraz łkał jeszcze.

— Co się zrobiło? ty beczysz? Jak rany boskie Kocham, beczy!.. Co się stało?.. gadaj zaraz!

Za całą odpowiedź, Mateusz przykucnął przed panem i objąwszy oburącz jego kolana, płakał rzewnie.

— Co to znaczy?.. czy powiesz dzisiaj? — zawołał pan Prot niespokojnie, i jakieś niemile przecucie oblało go jak zimną wodą.

— Ja nieszcześliwy człowiek... — słyhać było tylko wśród łkania, i nic więcej.

Trwało tak dobry kwadrans, ku wielkiej niecierpliwości p. Romualda, a niespokojności p. Prota. Nareszcie, po licznych prośbach i groźbach, zaczął mówić, i oto co z jego słów, przerywanych szlochami i zaklęciami, wymiarkować mogli.

Gdy we czwartek odjechał, włókł się kilka godzin, bo coś mu się ciągle psuło u wozu i u półszorków; musiał wstępować to do kowala, żeby dostać lonu do osi, to do karczyny *względem* sznurka do przy-

wiązania czegoś — tak przynajmniej twierdził — słowem, że stanął w Włocławku na samą noc, tak że z jendorami nie było już co robić tego dnia.

Przenocowawszy, w piątek rano zaprzął do wózka i wyjechał na rynek. Skoro tylko się pokazał z jendorami, zaczęły się schodzić jedna po drugiej służące, przekupki, Żydówki, słowem tłum się zrobił i wszyscy oglądali towar. Mateusz, jak mówił, nie wiedział gdzie oczy podziąć; ale zdaje się że musiał przywitać się naczecz z kwaterką, bo (zawsze podług jego opowiadania) jak zaczęto jendory oglądać, targować, w rękach ważyć, a pomiędzy sobą kłócić się i szwargotać, to po półgodzinnym takim targu, gdy się obejrzał, ani jednego jendora na bryce nie było. Narobił więc hałasu, udał się na policję, ale nic nie wskórał; jendory przepadły, jakby kamień w wodę wrzucił.

— Bodajże cię najsiarczystsze... pirogi zatrzasły! zawołał p. Prot, gdy Mateusz po rozlicznych omówieniach zakończył swoje sprawozdanie. A cóż się ze sprawunkami zrobiło?

— E! gdzie mnie tam w głowie były sprawunki! rzekł Mateusz kłajac.

— Jakto! niceś nie kupił?

— A za cóż?

— Mówiłem ci przecie, że gdy będzie potrzeba, dostaniesz na kredyt... dałem ci kartkę...

— *Zabaczylem* na śmierć...

— No, patrzcie państwo! to cymbał dopióro!.. I dwa czy trzy dni siedział... Cóż, do sęka, robił przez ten czas?

— Chodziłem na ratusz... kazali mi poznawać jendory, ale oskubane... diabełby ich poznał!.. Dwie Żydówki wsadzili do kozy...

Nie było co gadać dłużej z Mateuszem, który beczał wciąż. Fakt był, że jendory przepadły i sprawunki nie były porobione; to już wystarczyło, żeby ściąć z nóg p. Protę. Ale cóż na to mógł poradzić? Pozostawało jedno, to jest przysposobić się na burzę i jechać. Żeby jednak zyskać jakakolwiek dywersję, wysłał na pierwszy ogień Mateusza, sam zaś został jeszcze na rezurekcyę, i dopióro po nabożeństwie w nocy wyjechał.

Szczęście przynajmniej że się wypogodziło i że noc była widna, jak zwykle przed niedzielą wielkanocną, która przypada, jak wiadomo, po pełni.

Ale nie tu jeszcze był koniec przygód pana Protę. Wacho, z powodu trzygodzinną stójki przed dworem (bo zajechał był jeszcze przed rezurekcyę) w najgorszym był humorze; przytęm nie podobał mu się handel z p. Romualdem na deresza, a że miał także trochę w czubie, więc zaciął go często najniesprawiedliwiej w świecie, albo też zdzięrał bezpotrzebnie.

Wywoływało to napomnienia ze strony p. Protę, na które Wacho odpowiadał mruzeniem. Niedosyć na tym; parę razy jakby umyślnie wjechał w wybój, jakich na tej drodze nie brakowało, tak że o mało nie wyrzucił. Nareszcie, chcąc ominąć kałużę błyszczącą zdaleka na środku drogi, zjechał w rów i uwiązał tak, że konie nie mogły bryki wyciągnąć, pomimo największych wysiłków.

To już przyprowadziło p. Protę do ostatniej pasy. Tyle przejść i przeciwności wytrzymało z pionu jego charakter, co dowodzi że krew, którą, jak przekonałem na początku tego opowiadania, safandula posiada tak dobrze jak zwyczajni ludzie, burzy się w nim niekiedy, chociaż wprawdzie bardzo rzadko i na krótko. P. Prot powstał na siedzeniu i wziął za łeb Wacha.

— Ty hultaju jakiś!... ty, ty... łajdaku, pijaku! ty, ty... poczekaj! — wołał p. Prot, trzęsąc się ze złości i kręcąc czuprynę Wacha. Infamis jakiś!.. miesiąc mu świeci jak w południe... a on będzie mi w dziury wjeżdżał!

— Co mię pan za łeb targa?! — rzekł Wacho obruszając się.

— I jeszcze będzie hardy! zawołał p. Prot do desperacji przywiedziony, a wzburzenie krwi, doszedłszy do kulminacyjnego punktu, jak lampa na wypaleniu, zabłysło jeszcze świetnie. Poczekaj! nie wiem czem mię nazwiesz, hultaju jakiś, jeżeli za powrotem nie dostaniesz dwadzieścia batów odlęwanym... zobaczysz!.. Ruszaj!.. dodał już nie z taką furją, tonem jaki w muzyce nazywa się *diminuendo*; weź lejce krótko i wszystkiemi czterema razem... Nuże!

Wacho wziął lejce krótko, ale uwiązał je u wa-

saga; następnie zlął z bryki, a podkasawszy poły u płaszcz, przesadził przez rów i ruszył w pole.

— Co on, zwaryował? — rzekł p. Prot. Gdzie ty idziesz?

— W Prusy.

— Czyś oszalał?.. wróć się zaraz!

— Albo ja głupi czekać, jak mi pan każe dać dwadzieścia batów...

— Widzicie go!

— Nie potrzebuję, żeby mi pan zdrowie odbierał.

— A to dopióro!.. słychane to rzeczy!.. Wrócisz się, czy nie?

— Nie głupim!.. Ma mnie pan za moje dobre ze łba włosy wzdierać i batami straszyć...

— No, patrzcie państwo!.. za jego dobre! Ty infamisie jakiś, za to pewno, żeś się upił?

— Kto się upił? ja?... to panu byle kto co powie, i pan zaraz wierzy!.. Ja się upiłem!

— A teraz, toś pewno nie pijany, kiedy wjeżdżasz w dziury i hece wyprawiasz.

— Ja panu wiernie służę kiej pies, już na czwartym roku... a pan za moje dobre chce mi zdrowie odbierać!.. rzekł Wacho płacząc.

— Co ten beczy znowu!.. Chodź zaraz, bo mi już cierpliwości brakuje.

— A baty? zapytał Wacho, becząc ciągle.

— Głupiś!.. ja żartowałem, rzekł p. Prot, już prawie udobruchany, tak był wrażliwy na płacz.

Wacho zbadał widać doskonale charakter safanduly, a mając na sumieniu niejedno z tych kilku dni podróży, chciał zmasać wszystko za jednym zamachem. Doprowadził więc rzeczy do tego, że p. Prot uroczyście darował mu wszystkie winy i dopióro wtenczas powrócił do bryki.

Ale nie zaraz wydostali się z błota; ledwo w pół godziny, używszy we dwóch wielkiej biędy, dali sobie radę.

Pan Prot przyjechał do domu już po północy. Jakie było nazajutrz przyjęcie i jak się p. Prot z tego wszystkiego wykręcił, nie powiem, bom przy tym nie był; domyślam się tylko, że nie musiało mu pójść gładko, bo nie lubił nigdy wspominać o tej swojej wyprawie. Zato dla wszystkich w sąsiedztwie była ona przez długi czas materyą do rozmowy i żartów, a gdy kto miał przed sobą podróż w interesach wymagających sprężystego działania, mówiono mu: udaj się do Safanduly, on ci to sprawi.

Pobieżny rzut oka na niektóre zameczyska i tak zwane góry sypane w okolicach Suwałk.

Skręślił

Aleksander Osipowicz.

Przeszłość nie wszędzie jednakowe ślady pozostawiła w swoim przejściu. U jednych narodów skryzalizowała się ona w piramidach i obeliskach, u innych w gmachach opierających się niszczącej sile czasu; u innych wypisała swe dzieje na granitach, brązach i marmurach dziełami sztuki, u innych w sercach pokoleń pieśnią i podaniem swój pochód zaznaczyła.

Słowiańska przeszłość przedhistoryczna wyraziła się w kopcach z ziemi usypanych i dziś przemawia ona do nas zagadką sfinksa z mogił zawierających czasami tylko szkielet lub urnę pełną popiołów, łzawicę, w której lży dawno wyschły, kamienny lub brązowy toporek, ozdobę bursztynową lub inny ubożuchny zabytek.

Ale jak genialny naturalista z jednego zęba przedpotopowego zwierzęcia przez analogią odgadł postać zaginionego tworu, tak historia z wywodów podawanych sobie przez archeologię, ma kiedyś odzworować drogą porównań i wniosków ustrój społeczny słowiański, człowieka w jego otoczeniu ówczesnym z tych epok, z których żadne podanie, żadna pieśń do nas nie doszła, a pismo nie było jeszcze w użyciu.

Wszelkie kopce znajdujące się w prowincji tu-tejszej, lud nazywa ogólnem mianem gór sypanych, co zarówno oznacza litewskie wyrażenie *pilokalnie*.

W nich to spoczywają pamiętki dawnej potęgi przodków naszych, czci bogów, sławy bohaterów, pierwotnych związków jednostek z ogółem i jego organizacyi odwiecznej, a ztąd zbadanie ich i ocenienie jest niełatwem choć ponętnem, a dla dziejów nietylko pożądanem, lecz nawet niezbędnem. Wy-

maga zaś pracy zbiorowej, bo nie wystarcza mu pojedyncze usiłowania.

Odbierają też one cześć wyrównyującą czci oddawanej grobowcom. Nie tyka ich pług rolnika i zielenięją wśród pól ornych, niby wianki złożone przez potomność na cmentarzu przodków. Podróżny w zadumaniu przygląda się tym samotnym wzgórzom o dziwnych konturach, orzeł wędrowny na nich lubi spoczywać, a pastuszek na fujarce wierzbowej kwilić swoje wiośniarki.

Czasem wesołe grono mieszkańców miast mimochodem wstępuje na starożytny kopiec, i dopóki się wdziera po jego stromym grzbiecie, hałasuje, chichocze, gwarzy... ale gdy stanie na szczycie, milknie odrazu, bo siéroctwo i dostojność samotnego zabytku przejmują tęsknotą każdego; bo i ten orzeł, co na widok zbliżającej się hałaśliwej zgrai, wydawszy okrzyk melancholijny, niby hajnał grobowy, powoli rozciąga skrzydła i z wierzchołka świętego wzgórza wzbija się w obłoki, zdaje się nauczać czci należnej miejscu; i ten pastuszek, co z otwartymi ustami, okrągłymi z podziwienia oczyma mierzy przybyszów, dzierżąc swą fujarkę oburącz, zdaje się także nakazywać im poszanowanie dla wieków minionych.

To znowu badacz jaki wdziera się na kopiec, mierzy go, rysuje, lub zagląda w jego wnętrze i wydziera zeń prochy w urnach zamknięte. Lud wiejski wtedy powiada, że jakiś przybysz *skarbow tam szukał*, i przez uleganie urokowi bogactw, przebacza świętokradzkie targnięcie się na nietykalność mogiły.

Kiedy więc słońce świeci, kiedy dzień jaśnieje, kopiec bywa odwiedzany i zionie wtedy z siebie aromaty macierzanki, jakby się wdzierał do okolicy i gości swoich. Ale gdy zmrok zapadnie, a kopiec pograży się całkowicie w swojej odwiecznej samotności i zda się prowadzić z księżycem, łagodnie nań spoglądającym, jakiś serdeczny rozhovor, wtedy postać jego olbrzymieje i posepnie rysuje się na nieboskłonie.

Niekoniecznie potrzeba być zabobonnym i wierzyć w zjawianie się duchów, żeby doznać ściśnienia serca i pewnej niespokojności, znalazłszy się na szczycie starożytnego pomnika, wśród milczenia nocy; ale można wtedy pomyśleć, że przeszłość jest także duchem, którego tchnienie dreszczem przejmując, dreszczem żalu. To też lud nienapróżno nazywa niekiedy te kopce żalami.

* * *

Góry sypane czyli pilokalnie, które ogólnem mianem kopców ogarniamy w języku książkowym, stosownie do okolic sobie właściwych i znaczenia przez badaczy im nadawanego, noszą nazwy mogił, kurhanów, zgliszcz, zameczysk, grojców, grodzisk, horodyszcz, kąryn, pierścieni awarskich, okopisk, czatowni i t. d. W ogólności zaś zabytki te pod względem ich dawnego znaczenia bywają dzielone:

1. Na właściwe mogiły czyli kopce grobowe, w których chowano ciała zmarłych lub popioły zwłok spalonych w urnach zawarte.

2. Na grodziska czyli horodyszcz, inaczej zameczyska, na których stały niegdyś grojce, grodki lub zamki, to jest niewielkie warownie, służące do wojny odpórnej.

3. Na kopce ofiarne do odprawiania obrzędów religijnych i zbierania się gromady na roki i wiece przeznaczone.

4. Na kopce strażnicze, czyli czatownie, na których utrzymywano sygnały alarmowe, zapalone przez czaty, celem ostrzeżenia dalszych okolic o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

W związku z pewnemi kopcami są wały, tu i ówdzie znajdujące się, do rzędu których wlicza się tak zwany wał Trajana, do systemu kopców krain stepowych należący.

Zanim jednakże przystąpimy do szczegółów tu-tejszych, wypada nam choć pobieżnie pomówić o wymienionych dopióro rodzajach kopców, bo to ułatwi nam dalszy rozwój przedmiotu.

Mogiły właściwych, czyli kopców grobowych, najwięcej jest w gub. podolskiej, chociaż niebrak ich i gdzieindziej, a nawet w stronach ku północy tak wysuniętych, jak okolice Nowogrodu, rzeki Wołchowy, Stariej Ładogi i t. d. Mogiły tych okolic, zwykle ustawione nad brzegami rzek, lud tameczny nazywa *sopki*, t. j. nasypy, niekiedy mianuje je żal-

nikami, a wedle zdania znawców są one tego samego kształtu i wielkości, jak pod Krakowem na Lasocinie napotykanne.

Kopce tego rodzaju zawierają niekiedy starożytne grobowce z płyt kamiennych, w pewien ład jednostajny ułożone, a w nich szkielety ludzkie i samokosty zwierząt, popielnice, łzawnice i różne drobne

rokiem 1271, w opisie pogrzebu wyprawionego przez Germonta Swintorogowicza, ojcu jego Swintorogowi Utenusowiczowi, a to w tych słowach:

„Potem czyniąc dosyć rozkazaniu i woli ojcowski (Germont woli Swintoroga) uczynił i założył wielkie zgliszcze między górami, na tém miejscu gdzie Wilna rzeka do Wiliej wpada, lasy wszystkie

zgliszcze ofiarne. Pamiętać więc nam trzeba te szczegóły, bo one rzucają światło na zagadkową stronę tego rodzaju zabytków, z których kilka poniżej opiszemy. A lubo nie znamy miejscowości Swintorog, przy zbiegu rzek Wilny i Wilii według legendy kronikarza położonej, mieszkając zaś zdaleka od ognisk ruchu umysłowego i zamożnych w źród-



JEZIORO SURPIŁŁY. (Rysował z natury Górnicki).

przedmioty. Inne zaś nie przedstawiają żadnych grobowców, ale noszą na sobie grubą warstwę popiołu, a tu i owdzie naokoło rzędy ukrytych w ziemi urn, których ilość, a niekiedy i pojedyncze rozmiary, są zdumiewające.

Jakim sposobem powstały na Litwie takie kopce grobowe, objaśnia nas kronikarz Strykowski pod

okoliczne kazał wysiec, a uprzętnawszy plac szeroki, poświęcił ono miejsce z wróżbitami swojemi, obyczajem pogańskim, nabiwszy bydła rozmaitego bogom swoim na ofiarę. Tamże najprzód ciało ojca swego Swintoroga Utenusowicza, według zwyczaju spalił, ubrawszy go w zbroję i w szaty jego najdroższe, i szablę, sajdak, włócznię, chartów z wyżłami po parze, jastrzębia, sokoła i konia żywotnego, na którym sam jeździwał, i sługę albo kochankę jego, najwierniejszego i najmilszego żywego z nim pospołu spalili, złożwszy wielki stos drew dębowych i sosnowych. Rysie zaś i niedźwiedzie paznogcie panowie i bojarowie około stojąc w ogień mitali, dlatego iż wierzyli o dniu sądym, na który umarli wszyscy znowu do żywota przywróceniu mieli stanąć, a iż bóg jeden jakiś (którego nie znali, tylko o nim tak wierzyli) wszechmocny i nad wszystkie inne bogi największy, miał wszystkich ludzi dobre i złe sprawy sądzić, siedząc na górze wysokiej i przykrój, na którą górę trudno, wierzyli, wleźć bez paznogci rysich albo niedźwiedzich. Tym tedy sposobem Swintoroga, ojca wielkiego księcia litewskiego, Germont syn na on świat wyprawił przez ogień, a kości zebrawszy, w trunę włożono zaszpuntowaną, a potem na tém miejscu wyniosłą mogiłę usypano.“

Nieco dalej zaś kronikarz prawi: „i gdzie najprzód Swintoroga spalili, pany znaczniejsze tamże palili aż do czasów Jagiellowych, a zwali to miejsce Swintorog. A żeby one zgliszca tém większej wagi i świętobliwości były, ostawił na tém miejscu i fundował książę Giermont kapłany i wróżbity, którzyby modły i ofiary bogom odprawowali. Ogień też wieczny z dębowych drzew na tych zgliszczach zawzdy we dnie i w nocy gorzał, na chwałę Perkunowi, bogowi który gromami, błyskawicami i ogniem włada.“

W relacji tej Strykowskiego zastanawiają następujące szczegóły: wybór miejsca, sposób wykonania pogrzebowego obrzędu, usypanie kopca i przeznaczenie go na cmentarz popiołów przodków, przybytek kapłański, ołtarz poświęcony Perkunowi i

dla dziejowe księgozbiorów, nie mamy nawet pod ręką prac pp. Eustachego i Konstantego Tyszkiewiczów, specjalnie traktujących przedmiot, którego piórem profana dotknąć się poważamy, przecież z opowiadania Strykowskiego i naocznych badań w stronach tutejszych nad kopcami dokonanych ten wniosek jeszcze wyprowadzamy, że wzgórze tego rodzaju nietylko za cmentarz i przybytek, ale w razie potrzeby i za miejsce obrony od napaści posługi-

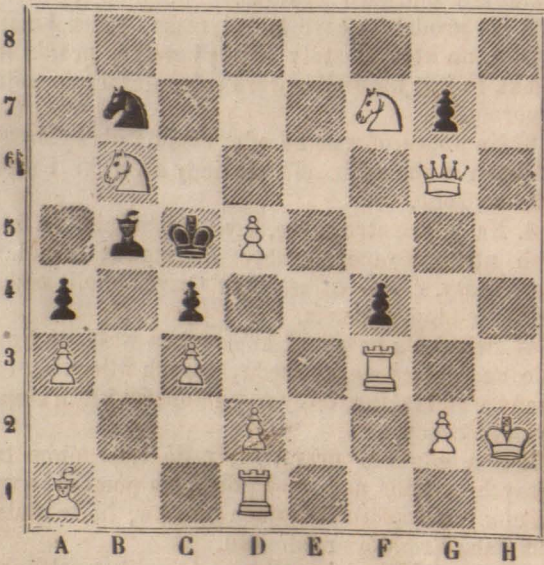
(Ob. dodatek).

Szachy.

ZADANIE CCCXL.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 339.

Białe.

Czarne.

- 1) G5—F6 (bierze w przejściu) † 1) G7—H6 biorą.
- 2) E7—F8† 2) B8—F8 biorą.
- 3) G4—G5† i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 383.

Prawo nie pomoże, gdy lewo przemoże.

(Dodatek).

wały. I dlatego wybór miejsc panujących nad okolicą, oblanych wodami, lub otoczonych trzęsawiskiem, na głównym miówny był względnie, a nadto miejsce niedostępne z natury starano się zwykle obwarować jeszcze u dołu przekopem, u szczytu zaś pojedynczym lub podwójnym pierścieniem szańców i palisadą.

Nasi badacze *kopcami ofiarnymi* nazywają wzgórza sypane, niezawierające grobowców ni zgliszcz i okazalszej postaci niż właściwe mogiły. Ale możeby właściwiej nazwać je należało kopcami szlakowymi, gdyż szlaki historyczne, jako to: czarny kuczmański, Konstantyna, wołoski albo ormiański, krzemieniczucki i kijowski są niemi wytknięte. Kopce te sięgają do Lwowa, Przemyśla, a u nas kończą się w Lubelskiem, gdzie noszą nazwę gór tatarskich.

Nie zdarzyło się nam oglądać kopców szlakowych, a nie posiadając żadnych źródeł traktujących o nich pod ręką, zmuszeni jesteśmy poprzestać na powyższej wzmiance i przejść do dalszych wywodów.

Zanim opiszemy niektóre zamczyska tutejsze, wypada nadmienić jakie to były zamki litewskie. Otóż właściwe zamki po grodach, jak np. w Wilnie, Trokach, Kownie, Grodnie i t. d., bywały murowane z kamieni polnych lub cegieł nad wodami, o ile to było można, w miejscowościach zwanych *wingas*, to jest na wzgórzach sterczących na krańcu półwyspów, lub w widłach zbiegiem rzek formowanych. Inne zaś zamki w głębi kraju licznie rozsiane, były drewniane, na podobnychże wyniosłościach w sposób wyżej rzeczony ufortyfikowanych budowane. Zamki takowe nie służyły za rezydencje osób możnych, ale były to raczej obwarowane stannice albo postęrnki wojskowe, do których w razie napadu mieszkańcy ze swém mieniem chronili się i wspólnymi siłami napaść odpięrali. W czasie pokoju zaś, wedle wyznaczenia starszyny, co miesiąc lub dłużej wszyscy stanowiący ówczesną siłę zbrojną, kolejno straż tam odbywać byli obowiązani. Dlatego też z owych zamczków litewskich, tak licznie przez kronikarzy pruskich wymienianych, oprócz horodyszcz, żadnych innych zabytków, żadnych ruin, a nawet nazw szczególnych nie pozostało.

Przed laty oglądaliśmy w Kownie nad Wilią ruiny murowanego z kamieni polnych na wapno zamku litewskiego, a lubo już wtedy ściana od strony pomienionej rzeki, podmyta snadź wezbraniem wiosennym, runęła do wody, przecież trzy pozostałe ściany czworoboku, w który zamek był murowany, miały jeszcze po rogach dwie baszty, zapewne z liczby czterech dawniej istniejących pozostałe. Były to jak się zdaje mury obwodowe, śród których mogły stać zabudowania dla użytku załogi. Dziś podobno tych ruin i śladu już niema w Kownie i dlatego o nich wspomnieliśmy, oraz w przypuszczeniu, że opis zdobywania zamku kowieńskiego, znajdujący się w rozdziale XI kroniki Wiganda, pod r. 1362, dotyczy tej miejscowości. Przytaczamy go tu, dla uzupełnienia pojęcia o dawnych zamkach litewskich i jako ciekawy obraz ówczesnego sposobu wojowania.

„Tymczasem kazał (Hening marszałek krzyżacki) maszyny i inne instrumenta wnieść do tej wysokości co zamek, który był bardzo wysoki i mocny. Lecz zmienili chrześcijanie stanowisko, gdyż w zamku wiele pocisków było, któremi chrześcijanom mocno dokuczano. Wtenczas Markward, mistrz ciesielski z Malborga, związał i zbudował maszynę czyli taran (machinam sive arietam) pospolicie w mowie niemieckiej *tumeler* zwany, za pomocą którego zrzucił jedną basztę ze ściany zamkowej od strony Niemna. Podobnie mistrz Matyas, cieśla z Królewa, zrobił zupełnie podobną maszynę, którą mocno tłukł mur zamkowy. Tymże sposobem Brandeburczycy także maszynami swemi mury kruszą. Rzeczeni więc cieśle, mianowicie Markward, wystawili maszynę tej wysokości co zamek aż do rowu. Mistrz Matyas ze wschodu na dół prowadził ją na stanowisko, gdzie stali bracia z Ragnity.“

Dalej zaś o zdobywaniu tego zamku kronikarz powiada: „a narodziwszy się mistrz (Winryk), rów napęlnia i wznosi budowlę równie wysoką jak mur, aby po niej wojownicy jego mogli wejść do zamku. Co zważając poganie, belki wysuwają z muru, aby przeszkodzić rzuceniu mostu zwodzonego. Na pogani więc Krzyżacy dzień i noc naciągają, tak iż odetchnąć nie mogli. Mocno się jednak oni bronią, ze szkodą chrześcijan. Spuszczają się także

gankami do baszty nad Nergą, z kądem mocno pociskami chrześcijan rażą, które to zabiegi Litwinów mistrz Markward tak zniósł do Nergi, jak liście drzewa lipowego, i pycha ich została upokorzona.“

Dla pełności wyobrażenia czém były zamki litewskie, czerpiemy ze Strykowskiego następujący jeszcze urywek.

„Ten zamek (Giedroty) zawistna starożytność dawnych czasów zniszczyła, iż dziś ledwie horodyszczce znać; bo w on czas, jako i dziś, u Litwy był obyczaj zamki i miasta z drzewa budować, dla czego znaków dawności starożytnych mało co w tych północnych krainach widzimy.“

A teraz przystępujemy do rzeczy tutejszych, zaczynając z południa, od zamczysk, wbrew powyżej określonemu porządkowi, wedle którego należałoby mówić na czele o mogiłach, o których dla względów niżej mających się wyłuszczyć następnie wzmiankę uczynimy.

1 *Zamczysko w Rajgradzie*, któremu nadano nazwę zamczyska Trojdena.

O założeniu zamku w Rajgradzie, kronika Strykowskiego pod rokiem 1279 opiewa:

„Zebrawszy tedy wojsko litewskie, Narimunt ciągnął na Podlasie z Trojdenem bratem, a Jatwiziowie, pamiętając iż niedawno pierwszego oporu przypłacili Polakom gardły swemi, nie przeciwili się, ale zaraz przyjęli Narimunta w księcia litewskiego. Potem Narimunt wszystko księstwo jatwieskie i podlaskie dał za udział Trojdenowi bratu, który ugruntowawszy i obwarowawszy granice swoje od Krzyżaków pruskich i od Mazurów, zajechał z przygody w puszcze na łowy i znalazł górę iozkoszną *nad Biebrzą* rzeką, na której gdy mu się położenie miejsca spodobało, zbudował Rajgród zamek i pisał się kniazem jatwieskim, podlaskim i dajnowskim.“

U Voigta Rajgród ma nazwę Rogard, a u Wiganda Rongart, i ten ostatni taką daje o tej miejscowości wzmiankę: „Tymczasem doniesiono mistrzowi, że król krakowski (w r. 1360, a zatem Kazimierz W.) z wielką siłą i w nieprzyjaznym zamiarze wystawił zamek Rongart, na granicy ziemi swojej, i listownie doniósł (mistrz) marszałkowi, że rzeczony król na uszczerbek Zakonu ów zamek wystawił, z którego to powodu marszałek wraz z komendantem z Balgi i z Brandeburgu, z wójtem samlandzkim oraz innymi wojownikami, zwrócił się przeciwko Polakom i po nieprzyjacielsku ich odpięrając, budowlę z gruntu zniszczył i spalił.“

Starożytna Polska zaś jeszcze dodaje: „Niewiadomo jakie były losy tego grodu, nim się stał własnością kniazów Glińskich; z tych Michał pozbawiony został swych majątności, które 1509 r. nadał Zygmunt 1szy prawem dziedzicznym M. Radziwiłłowi wojewodzie wil. Po upływie pewnego przeciągu czasu, w skutek może zamiany, począł Rajgród składać królewszczyznę.“

W podaniu Strykowskiego, za którym poszli i inni, powiedziano że zamek Rajgród Trojden wznosił nad rzeką Biebrzą, a zamczysko Rajgród, o którym mowa, nie nad rzeką bynajmniej, ale nad jeziorem tegoż nazwiska, inaczej zwanem Lęk, Lęko albo Lęcko, z którego znacznie dalej u północnego krańca miasta rzeka Jegrznia wypływa, jest położone. Przypuściwszy więc że kronikarz Biebrzę i Jegrznia za jedną i tę samą rzekę uważa, to przecież jezioro nad którym stał zamek, za toż samo z rzeką nad którą go nigdy nie było, chociaż z tego jeziora wypływa, brać nie mógł. O tak gruby błąd Strykowskiego, kronikarza drobiazgowego do zbytku i *osobliwie zwiędzającego kiedyś te strony*, posądzać trudno, i wnosićby ztąd wypadało, że Trojden gdzieś nad Biebrzą rzeczywiście zamek sobie pobudował i że zamczysko przez nas opisywane zastosować raczej należy do przytoczonej wyżej relacji Wiganda, a to na tej jeszcze zasadzie że skoro Krzyżacy znaczni po czasach Trojdena nie ścierpieli pod swoim bokiem warownego zamku, wystawionego przez władzę ówczesnego Polski i zburzyli forteczkę niebawem, nie można przypuścić aby znosili z pokorą sąsiedztwo Trojdena, człowieka burzliwego i zaborczego, i dozwolili mu bezkarnie stawić ku swęj wygodzie nad ich dzielnicą zamek. A i o tém trzeba pamiętać, że Trojden był w kraju zagarniętym, że srogim był dla swych podwładnych, a zatem mając we własnych stronach wewnętrznych nieprzyjaciół, a w sąsiedztwie Polaków, Mazurów i Krzyżaków, na stanowisku tak wysuniętym

ku ich przednim strażom jak zamek rajgradzki, żadną miarą utrzymałby się długo nie mógł. Nazwa w tym razie nic nie stanowi, bo jest jeszcze inne miasto Rajgród, a to nad Bohem, blisko Braclawia, jest i wieś Rajgradzik w tych stronach; dla czegożby więc nie mógł być w swoim czasie nad Biebrzą Trojdenowy zamek tegoż nazwiska?

Na domysł ten naprowadzać się zdaje i samo zamczysko rajgradzkie, bo chociaż ono leży w miejscowości szczególnie przez Litwinów do wznoszenia kopców poszukiwanej, to z drugiej strony okolice jeziora Lęcko są tego rodzaju, że ktokolwiekby tam chciał warownię owego czasu wystawić, nie w innym jak w tym samym punkcie, z natury obronnym, byłby zniewolonym to uczynić. Następnie zamczysko to nie nosi na sobie żadnych śladów szańców, bez których litewskie pilokalnie, a tém bardziej te które wyłącznie za miejsca obronne służyły, nigdy się nie obesły. Bacznie przyglądając się temu zamczysku, łatwo dostrzedz, że oprócz korzystania z dzikiej natury, niewiele troskano się o wzmocnienie tej miejscowości, i że oprócz palisady w połowie wysokości góry na krawędzi płaszczyzny naksztalt drogi ją otaczającej, żadne wały ani przekopy zamku nie brońły. Nic dziwnego więc że Krzyżacy tak łatwo go dostać i w perzynę obrócić zdołali, jeżeli podanie Wiganda pod nazwą Rongart, a Voigta Rogard, tej a nie innej miejscowości dotyczą.

Aby tę wątpliwość rozwikłać, wypadałoby zwiędzić okolice nadbiebrzańskie i poszukać w nich horodyszcz, któreby zgadzało się z relacją Strykowskiego, co pozostawiając czasowi lub ludziom dobrej woli, przystępujemy do szczegółów miejscowości niniejszemu określanéj.

Do wzmianki powyższej co do położenia zamczyska rajgradzkiego dodać należy, że znajduje się ono na wschodnim brzegu jeziora, tuż za kościołem. Powierzchnia jego przedstawia czworobok do kształtu półwyspu zastosowany. Linia tego czworoboku, stanowiąca kres wyniosłości, ma za podstawę urwisko nader stromo nad wodą sterczące. Dwa boki wzgórza mają spadzistość łagodniejszą w połowie, jak się rzekło wyżej ustępem płaskim, niby drogą, przepasaną. Od strony ładu idzie się przesmykiem, który łatwo można przekopać i wodą od góry przedzielić, i wstępuje się po lekkiej spadzistości na szczyt zamczyska, z niego zaś cudny widok na jezioro i jego okolice się odkrywa.

Ściana stanowiąca urwisko nad jeziorem, odarta jest z murawy zieleniejącej się na innych miejscach wzgórza i przedstawia grunt gliniasty, u wierzchu tylko warstwą czarnoziemiu na stopę przykryty. Roztopy wiosenne i ulewy, opłukując tę nagą stronę, wynoszą z niej różne przedmioty i staczają na dół. Oglądaliśmy też ze szczytu tego urwiska szczątki fundamentów, ułamki cegieł i belki przepalone. Na dole widzieliśmy mnóstwo skorup, glinianych naczyń grubo wyrabianych, ułamki szkła blade-zielonego, zdaje się że ze zbitych szyb pochodzące, brązowe blaszki, kości zwierząt, lecz nadewszystko nas zastanowiło naczynie prawie całe wodą wymulone z wnętrza góry, a to ze swego kształtu, który był taki. Wystawmy sobie dwie miseczki ośmiociałowej średnicy w otworze, o ścianach grubych na $\frac{1}{3}$ cala, dnami w ten sposób do siebie obrócone, że jedna z tych miseczek służyła za podstawę, druga za czerę, i dna te połączone ręką gruba na $1\frac{1}{2}$ cala, a kształt naczyńia tego zbliżony będzie do jakiegoś puharu, którego każda strona zarówno za podstawę jak i wierzchołek służyć mogła.

Ułamek podobnych zupełnie naczyń, tak formą jak rozmiarami i wyrobem, widzieliśmy tam niemało; coby zaś te naczynia miały za znaczenie, niech znawcy wyrekną.

O zamczysku rajgradzkim u ludu okolicznego żadnych podań dopytać się nie można, jakby dzisiejsze pokolenie tutejsze nic wspólnego nie miało z ludźmi którzy niegdyś te strony zamieszkiwali. Że zaś podobne zapomnienie, czy nieświadomość ludu co do zabytków tego rodzaju powtarza się prawie wszędzie, wyobrażamy więc sobie, że jakieś okoliczności tak silnie uwagę przodków jego, niegdyś w sąsiedztwie tych zabytków przebywających, zajmowały, iż pośród tego zajęcia wszelka pamięć przeszłości, wszelkie wspomnienia o niej i tradycje na wieki zapomniane zostały — zapomniane aż do nazwy miejscowości.

2. *Surpily*, zamczysko, o dwie godziny drogi

w północno-zachodniej stronie Suwałk, w gruntach folwarku Jęglówek, pomiędzy jeziorami Szurpiły, Jęglówek i Tchliszcz, bardzo blisko obok siebie leżącymi. Jest to wyniosłość z natury obronna, ręką ludzką wzmocniona, zwana *górką zamkową* albo *zamczyskiem*, do której lud tameczny nazwy Szurpiły, jaką nosi jezioro przyległe i wieś niedaleka, nie stosuje, a wedle podania gminnego miał na tej górze stać zamek, w którym król Jagiełło przemieszkiwał, ilekroć zjeżdżał na łowy w te strony, obfitujące niegdys w grubego zwierzca; ale nazwa tego zamku poszła w niepamięć.

(Dokończenie nastąpi).

Józef Lubowski.

(Dokończenie).

Gra Lubowskiego odznaczała się tonem pięknym, a jak styl stanowi człowieka, tak ton orzeka o samoistności artysty. Często dwaj uczniowie, pod okiem tegoż samego nauczyciela zostający, mimo równej usilności, różnemi zupełnie pójdą drogami; jeden słodczą dźwięku nęcić będzie słuchacza, drugi werwą i zapalem porywać. Pochodzi to z wewnętrznej organizacji, z tego indywidualnego ja, którego nikt nie nada, ale tylko pokierować nim może, rozwiniąć je i uzupełnić. O prawdziwie tej przekonani nas pierwszorzędni mistrze. Poetyczny Chopin śpiewnością zachwyca; namiętny Liszt zapala budzi, a gwałtownością uczuć podziwia się każde; Thalberg chłodniejszy, wabi przecież słuchacza prawdziwie niemieckim spokojem, będącym oznaką największej pewności siebie. Z tysiącznej plejady fortepianistów późniejszej Europy przebiegających, jeden tylko Schulhof odznaczył się uderzeniem oryginalnym, wirtuozem cechującym. To też Chopin wielce Schulhofa cenił, znajdując w nim poczucie siebie, iskrę rzetelnego artysty, świadcząca o usposobieniu jego duszy i pozwalająca mu za pomocą suchych dźwięków fortepianu, tkliwie, ujmująco do słuchacza przemawiać. Lubowski wiele Schulhofa przypominał, a posiadając szczególną organizację ręki, pięść w całym znaczeniu wyrobioną, sypał oktawami i zajmował tremolem niezwykłym sposobem przez siebie oddanym. Że i o stylu miał należytą wiadomość, świadczyły o tym różnorodne rodzaje kompozycji, już to mistrzów tegoczesnych, już klasyków, które z należytym pojęciem wykonywał.

W kompozycjach Lubowskiego, mimo usiłowania szlachetniejsze, przebija przecież duch czasu w którym działał. Po pięknej bowiem tradycji Fielda, Riesa, Hummla, Moschelesa i nieśmiertelnego Beethovena, fortepianisci puścili się na błyskotki; mechanizm ich, zamiast posłużyć do wypowiedzenia szlachetnych myśli, silił się by lśnić, odurzyć, a nicosić i cześć przedmiotu świetnością zasłonić. Leżało to w usposobieniu martwym, zubożeniu publiczności, domagającej się od wirtuozów znanych tematów, sposobem odgrzewanym w różnej postaci podanych; ale pochodziło też i z winy artystów, piękno prawdziwe pojmujących, a dla schlebiania zepsutemu smakowi, dogadzających nieestetycznym ogółu zachęciom. Pod tym względem, rzecz można, Liszt, Thalberg i inni rzeczy świadomi wielką krzywdę sztuce wyrządzili, a ratował ją wyłącznie Chopin, ratował tym dzielniej, że mimo zwichniętego popędu, nietylko uznanie świata cywilizowanego znalazł, i mimo nowości stylu i formy, od razu tytuł muzyka-poety pozyskał.

Wszyscy pamiętamy jeszcze czas, kiedy dosyć było najędźniejszy obrać motyw, choćby *wlaź kotek na płotek*, i upstrzyć go różnemi figielkami, aby zyskać oklaski zdumiałej publiczności. Wprawdzie i mistrze, jak Mozart, Beethoven, osnuwali na różne temata waryacje; ale u nich to podobizny do główniej myśli tak są z przedmiotem ściśle związane, że tylko go objaśniają i uzupełniają. Zresztą dążności zawsze szlachetne, nasuwały im niemniej szlachetne tło do rozwinięcia, czego nie można wcale powiedzieć o późniejszych wirtuozach fortepianowych, darzących słuchacza, jak np. Czapek, waryacjami na piosenkę *Mein lieber Augustin*. Zarzut jednak powyższy nie stosuje się bynajmniej do Lubowskiego, który używał wprawdzie do swych kompozycji cudzych pomysłów, ale pisał też i oryginalne. Fantazyja jego na temat tegoczesny, nader życzliwie przez publiczność przyjęta, dotąd wielkiej wziętości używa. Są pewne rzeczy, o których sędzi się tylko sercem.

Z kompozycji oryginalnych drukowanych, zostawił Lubowski sześć etiudów (zaszczytne wspomnianych w dziele paryżkiem *Dictionnaire des musiciens*); *La cascade*, *nocturne*; *Mazur* i *Waryacje na piosnkę ukraińską*. Rękopisów niewydrukowanych znaczny poczet częścią zaginął, częścią zostaje w ręku przyjaciół nieboszczyka. Lubowski, wątły na zdrowiu, często na brak sił zapadający, notował myśli swoje ołówkiem, a wolny od zarozumiałości, nie goniąc za sławą, wypełniał sumiennie obowiązek prawdziwego artysty. Kompozycje jego, względnie do czasu, znaczą głębsze poczucie, myśl często świeżą, szlachetniejszą dążność, oraz wskazują wyborną znajomość instrumentu. Przy zwrocie smaku, ani wątpić, że Lubowski posiadał dosyć w sobie zasobów, któreby mu w pełni niezaprzeczonego talentu zająśnić pozwoliły. Niestety! zgał przed czasem, jak roślina w wiosnie wybujała, której kwiat śnieg przypruszył i zmroził.

Ignacy Krzyżanowski.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Paryż, w styczniu 1867 r.

Filozoficzno-historyczny pogląd na Nowy rok. — Nowa myśl w błocie urodzona. — Kradzież pomysłów. — Szkoda starego Paryża. — Ży w oczach Javert'a. — Samochwałstwo i rozmałość. — Zabawa i nauka. — Paryż i Berdyczów. — Błoto i budki. — Konkluzya.

Trudno to bardzo napisać coś nowego z Paryża i o Paryżu, chociażby po Nowym roku. Nowy rok minął i — nic się nie odnowiło. Stare dzieje rozwijają się w dalszym ciągu, niby felieton w gazecie. Stary rok skończył z napisem na czole *à continuer*, jak powieść w której autor pisze o rzeczach dawno i dobrze znanych i po tysiąc razy przez innych autorów powtarzanych, a mimo to ciekawych, dlaczego? oto dla wyrazu *à continuer*. Czytelnik spodziewa się czegoś i z tej nadziei sam robi wędkę na siebie, spodziewa się i szuka i częstokroć znajduje coś takiego, o czym się autorowi ani śniło. To samo dzieje się i z Nowym rokiem. Wkraczamy weń ze spodziewaniem czegoś ciekawego i szukamy tej ciekawości do ostatniej godziny; zegnany stary i nanowo rozpoczynamy szukanie. Stara historia powtarza się każdego pierwszego stycznia od początku.

— A wypadki! gotów kto z boku podpowiedzieć. Rok miniony był tak w nie obfity...

— Wypadki?... Zajrzyjcie do historii... Te same wypadki powtarzały się nieraz i nie dziesięć razy.

Pardon!... łaskawy czytelniku. Przez roztargnienie tylko co, zamiast kronikarskiego sprawozdania, nie uraczyłem cię rozprawą z dziedziny filozofii historii, rozprawą straszliwie nudną, okropnie długą, niczego nie dowodzącą i do niczego nie prowadzącą.

Wielkie szczęście dla mnie, a może jeszcze większe dla ciebie, że w czas opatrzył.

Postanowiłem sobie pisać coś nowego o Paryżu. W tym celu udałem się na bruk po natchnienie, gapilem się przez cały dzień w głębokich wąwozach, które się nazywają ulicami, chlapałem się po błocie, które się nazywa brukiem, straciłem dużo czasu i po wielkich trudach, po nadzwyczajnych wysiłkach imaginacji i rozumu, społowałem coś nowego. Zaświtała mi w głowie myśl, która urodziła się w błocie, niby Wenus, tylko nie taka piękna, cóż dziwnego!... Pomiędzy błotem a pianą morską taka przecie ogromna zachodzi różnica.

O! jakżem się nią ucieszył, tą nową myślą, tą Afrodytą, obryzganą od stóp do głowy i poznaczoną w centki, niby skóra lamparcia. Chciałem biedz natchnieniem pomiędzy znajomych i podzielić się nią z nimi. To tak miło dzielić się radością! Lecz wstrzymałem się w zapędzie, a to dlatego, że właśnie podobne dzielenie się sparzyło mnie przed paru dniami.

Ci co piszą i drukują, wiedzą bardzo dobrze jakim to nieocenionym skarbem jest nowa myśl, nowe jakieś postrzeżenie, nawet nowy obrót frazesu. Wynalezienie takiego skarbu równa się dla nich odkryciu nowej wyspy na znajomym marynarzom morzu. Kryją się ze swoim skarbem, jak piętnastoletnie dziewczę z miłością, dumni i szczęśliwi z góry tym wrażeniem, jakie sprawi udarowanie nim czytającej publiczności. Cóż to za zmartwienie, jeżeli ten skarb zostanie im wykradzionym! jeżeli kto podłu-

cha, podchwyci i jak swoją własność przed światem wyda... Podobny wypadek wydarzył się mnie, ale w sposób wcale niespodziany, niespodziany do tego stopnia, iż nie wiedziałem o skarbie którego stałem się wynalazcą. Przed kilku dniami zeszedłem się z pewnym panem A., redaktorem pewnego dziennika. Zawiązała się pomiędzy nami rozmowa, która, przeslizgnawszy się po kilku przedmiotach, zeszała na Paryż.

— Dawno pan nie był w Paryżu?... zagadnął pan A.

— Od trzech lat... odrzekłem.

— Jakże się panu wydaje nasza stolica?

— Ledwo ją poznaję.... Tyle zmian!... Tyle ruin!...

W niektórych miejscach miasto wygląda jak po zbombardowaniu...

— Wkrótce będzie wyglądało inaczej... Gdy wzniosą się nowe gmachy na nowo przebitych ulicach, będzie na co popatrzeć...

— Przecież to szkoda i starych budowli i starych ulic, podchwyciłem, a raczej szkoda tych wspomnień przeszłości, które do nich były przywiązane... Paryż ma historią, którą należało trochę uszanować; jest dla półtoramilionowej ludności ojczyzną, którą należało także uszanować... Paryż stary był świętością i dla Paryżan i dla Francji...

— Sentymentalizm, wtrącił dziennikarz.

— Sentymentalizm? podchwyciłem. Niech i tak będzie. Przecież sami Paryżanie grzeszą trochę sentymentalizmem, który udało mi się w nich podpatrzeć... Wracam z ogrodu luksemburskiego... Słyszałem tam westchnienia i utyskiwania... Widziałem ży w oczach miejscowego *sergeant de ville*...

Dziennikarzowi na te wyrazy rozjaśniła się twarz. Uściśnął mnie za rękę i rzekł:

— Dobrze pan to powiedziałeś...

Myślałem że go rozrzewnił, że trafiłem wstrunę jego serca, która odrzekała miłością dla starego Paryża, z każdym dniem coraz to bardziej znikającego z powierzchni ziemi, a nawet i z pod ziemi, — że wywołałem w nim żal za temi odwiecznymi drzewami Luksemburgu, wałonami siekierą lub wyrwanymi z korzenia, w których cieniu upływały może dziecinne jego lata. Więc dalej ciągnąłem rozmowę, nastrajając ją na coraz to wyższy ton. Lecz on nie słuchał, a raczej słuchał, ale z tym roztargnieniem, które mówi:

— Pleciesz trzy po trzy... dałbyś tym głupstwu pokój...

Dostrzegłszy tego rodzaju usposobienie do słuchania krasomówczych obrotów w moim interlokutorze, zamilkłem. On też na to tylko czekał. Uściśnął mnie za rękę i odszedł, rzucając mi na pożegnanie wyraz:

— Dziękuję...

— Za co on mi podziękował? spytałem sam siebie.

W chwilę potem zapomniałem o rozmowie i byłbym o niej na wieki wieków zapomniał, gdybym się w parę dni później nie spotkał znów z dziennikarzem.

Czytałeś pan wczorajszy numer mego dziennika?... były pierwsze jego wyrazy.

Odpowiedziałem gestem, trzymającym pośrednie miejsce pomiędzy tak i nie.

— Zauważyłeś kronikarski artykuł?...

Bąknąłem coś przez zęby, nie chcąc obrazić publicysty wyznaniem, że nawet nie widziałem jego dziennika.

— Uhaftowałem go na pańskim spostrzeżeniu, uczynionem w luksemburskim ogrodzie... Doskonałe spostrzeżenie!... Prawdziwe czy nieprawdziwe, mniejsza o to... Ży w oczach Javert'a? *c'est quelque chose de piquant*... Javert płaczący?... co za przepaścisty kontrast!... Podniosłem ten kontrast i zrobiłem z niego *un vrai petit chef-d'oeuvre*... Czyż nieprawda?...

Całą prawdą, jaka ku mnie z powyższych wyrazów wyjrzała, było to, że poznałem iż zostałem okradzionym. Ta prawda stała się dla mnie jeszcze wyraźniejszą, gdy przeczytałem rzeczony artykuł, w którym znalazłem Paryż, połączony do znaczenia ojczyzny i Luksemburg opisany tak żywo i gorąco, że każdy zdaje się wyraz spływać na papier wprost z serca rozkochanego w cieniach tych drzew i tych alei, w kształtach i barwach tych trawników, które dziś zamierzono w nowe ubrać sukienki, którym siekiera, rydel i oskard całą odbierają przeszłość. Była to sielanka tym piękniejsza, że niespodziankowa

bo znaleziona na paryzkim bruku, w łacińskiej krainie (*pays latin*), w której da się znaleźć wszystko, tylko nie sielanka. A na tle tej sielanki, w rodzaju płaskorzeźby, wystawała postać Javarta, człowieka pozbawionego wszystkich uczuć, nieznającego żadnej miłości, obcego ojcu, matce, bratu, siostrze, nawet żonie, nawet własnemu dziecku, a przecie do głębi poruszonego na widok walącego się drzewa. To drzewo przypominało mu zaranie jego życia.

Przeczytawszy ów artykuł, czułem że byłbym się nim zachwyił, gdyby nie pewna okoliczność. Autor pochwalił się przedemną zręcznością „w robieniu frazesów.“ Pomimo więc pewnego ciepła, bijącego z każdego wyrazu, wyszczerzała z niego zęby zręczność i śmiała się do mnie w drwiący sposób, grając sobie palcem na nosie. Bolało mnie, że dał wykrząść sobie spostrzeżenie, z którego, mówiąc między nami, byłbym żadnego nie zrobił użytku, dla tej przyczyny, że w prostocie mego ducha nie domyślałem się, iż przydaćby się mogło na kronikarski artykuł. A gdybym się był i domyślił, to pytanie czybym potrafił ubrać je w taką wytworną sukienkę frazesów?... Bądź co bądź, powzięłem postanowienie, aby być ostrożnym, zwłaszcza z publicystami, i kręcąc się po Paryżu za czemś nowym, oglądałem się, azali który nie śledzi za mną, nie podgląda i nie podsłuchuje.

I uchwyciłem moją nową myśl, w błocie wylęgłą.

I oto w tej chwili, siedząc ze zwieszonym piórem nad białą ćwiartką papieru, jestem w kłopotcie, czy podzielić się nią z wami, łaskawi czytelnicy, czy zachować ją nadal dla samego siebie? Zachowanie skarbu dla samego siebie tak jest kuszącym, tak dużo przedstawia korzyści, że muszę jeszcze głęboko się zastanowić, zanim na stanowczy zdecyduję się krok. Tymczasem poprowadzę was na oględziny Paryża.

Co w tym Paryżu jest tak pociągającego, że zjeżdżają się doń ludzie z całej kuli ziemskiej? Zapytanie to stawiałem sobie nieraz, stawię i teraz i jest na nie w pogotowiu odpowiedź, ale ogólnikowa. Oto co mówią pospolicie: Francja jest przewodniczką ludzkości na drodze cywilizacji, a Paryż jest Francji stolicą. Tej odpowiedzi jednakże braknie jednej rzeczy, a to ażeby ją wszystkie szczegóły wspierały. Ogólnikowo rzecz biorąc, wydaje się być prawdą twierdzenie, że Francja jest przewodniczką cywilizacji. Wniknąwszy jednakże w istotę rzeczy, ta prawda przybiera postać samochwalstwa, mającego tę szczególną własność, że ludzie zawierzyli mu na słowo. A tę własność nadaje mu sposób wypowiedzenia. Każdy z nas zna samochwałców. Niepodobna ich nie znać: jest ich tyle!... Po między nimi jedni sprawiają obrzydzenie i chociażby najświętszą podawali prawdę, budzą wstręt; drudzy chwalą się w taki zręczny a zajmujący sposób, że się im mimowolnie wierzy, a jeżeli i nie wierzy, to chce się ich posłuchać raz, drugi i dziesiąty. Zależy to od sposobu przedstawienia rzeczy, od umiejętności wydania się, od zdolności *se faire valoir*, zdolności która jest, zdaje się, w narodzie francuzkim wrodzoną, którą Francuzi i pojedynczo wzięci i zbiorowo posunęli do najwyższego doskonałości stopnia. Chwalą się wszystkimi tonami, w słuch całemu światu wołają: „przodujemy na drodze cywilizacji.“ Świat wierzy, uznał Paryż cywilizacyjną Mekką i wysłał do niej pątników ze wszystkich swoich zakątków; dążących tam w celu uderzenia czołem nie przed zawieszonym pomiędzy niebem a ziemią trupem proroka, ale przed czémś nieokreślonym, przed czemś co każdy sobie na miejscu wybiera. A wybiera co? Gdybym wziął się do opisywania przedmiotów które sobie w Paryżu wybierają cudzoziemcy, musiałbym ćwiartki na których piszę pomnożyć do nieskończenia; pisałbym straszliwie długo i po najdłuższym pisaniu jeszczebym przedmiot do dna nie wyczerpnął, tak jest obszernym i rozmaitym.

Zręczne samochwalstwo i ogromna różnaitość, oto dwie pryncypalne Paryża zalety. Są one wędka na ciekawość ludzką, która na własne usprawiedliwienie powtarza za Francuzami, że Paryż jest cywilizacyjną Mekką, że jest całego postępu synteza.

Mnie się zdaje, iż nie jest on ani Mekką, ani syntezą, ale encyklopedyą, zbiorem rzeczy zabawnych, pożytecznych i nauczających. Jest tam na małej stosunkowo przestrzeni zgromadzone to, co się częściami rozsypało na przestrzeni całej Europy — jest

tam „wszystko“ i ten wyraz wywiera wpływ czarodziejski, każący nie wglądać w szczegółową wartość każdej ze składowych tego „wszystkiego“ części. Agdyby to zrobić, cóżby się pokazało? oto że każda z osobna część jest doskonalsza nie w Paryżu, ale gdzieindziej, często bardzo daleko, na właściwym swoim miejscu; że w Paryżu jest ona rośliną w cieplarni, której największą zaletę stanowi zatknięta na patyczku etykieta. Na tej etykietce ogrodnik napisał pochwałę. Napisał on ją niby roślinie, a w istocie sobie i przez to podstawienie rzeczy jednej za drugą ujął z góry tego, co by o sprawdzeniu pomyślał. W tém cała sztuka zręcznego chwaleńca się.

Samochwalstwo we Francji podniesionem jest do znaczenia sztuki. Jest to artystyczna gra, wydoskoniona od tego stopnia, że się wydaje łączącą w sobie dwa przymioty: prawdę i piękno. Jedno i drugie jest optycznym złudzeniem, ale złudzeniem doskonałym, udaniem zbliżonem do oryginału i zostającym do niego w takim stosunku, w jakim występujący na scenicznych deskach rycerz, ubrany w pancerz i szyszak z tektury, do rycerza średnich wieków i do jego ciężkiej żelaznej zbroi.

Komedia, mości dobrodzieju, istna komedia — tylko dobrze odegrana.

To też w tém jednym, to jest w odegraniu komedy, Francuzi są mistrzami, a ich stolica arcymistrzynią. Po to też jedno — po nauczenie się grania komedy, warto do Paryża jechać, zresztą... po nic.

Więc: czy warto jechać do Paryża?

Zapytywałem podróżników, którzy odbycie tej pielgrzymki do najważniejszych towarzyskich zaliczają obowiązków: co też ich do Paryża ciągnie? Odpowiadali jedni: zabawa, drudzy: nauka.

Zabawa lub nauka. Innego celu nie może mieć ofiara, którą ponoszą ludzie częstokroć niezamożni, rzucając w otchłań Paryżu osoby swoje i majątki. Mówiłem im, że w stolicy Francji ani zabawa nie jest zabawą, ani nauka nauką. Dowód na to krótki. I jednej i drugiej Paryżanie sami szukają za Paryżem.

Dla Paryżan zabawa jest amatorskim na wielką skalę teatrem. Występują oni na nim w jedynym celu: zrobienia z osoby własnej dla drugich widowiska. Dzieje się to po części na szerokim świecie, lecz nie tak wyłącznie jak w Paryżu, gdzie formą zabawy jest bal, a treścią własnej osoby wystawność. Bal dzieli się na rodzaje i wystawność także, ale jedno i drugie idą ze sobą nierozłącznie w parze. Czytajmy sprawozdania i opisy, których niewyczerpanym źródłem jest dziennikarstwo. Zapisuje ono skrętnie wszystkie w tym względzie objawy, zaczynając od najwspanialszych, jakimi są bale dworskie, u ministrów, u bankierów, a kończąc na najskromniejszych co do rozmiarów, jakimi są baliki na odległych przedmieściach. Wszędzie chodzi przede wszystkim o jedno: o wykazanie własnego ja jak najkorzystniej. Zabawa właściwa, uciecha stoi na drugim planie i występuje wówczas dopiero, kiedy wymagalności wystawy uczynionem zostało zadość, wymagalności, będącej matką mody i kankana. Francuzi lubią stroje, dlaczego? bo one ich uwydatniają; lubią tańce, dlaczego? dla wykazania w różnych pozach kształtów ciała. A powodzenie wystawy jest miarą uciechy: im pierwsza lepiej się powiodła, tém druga staje się prawdziwszą, wsparta wewnętrznem zadowoleniem, jakie sprawia powodzenie. Nic nie może się równać ze szczęściem Paryżanki, przeświadczonej iż była najlepiej ubraną. Za osiągnięcie tego szczęścia gotową jest ona oddać wszystko. To samo i Paryżanin. Zabawa ich nie jest szczerą, a raczej jest rzeczą dodatkową, sztucznie wywołaną. Jako taka więc nie powinna służyć za przynętę dla tych, co gonią za zabawą.

Mimo to — służy. Jest to fakt sprawdzony i stwierdzony w terażniejszości. Tysiące, miliony ciągnęły i ciągną do Paryża, po nic innego tylko po to, ażeby się zabawić. Co do mnie, bawiłem się lepiej wśród Niemców. Pamiętam razu pewnego znalazłem się w ogródku pełnym stołów rozstawionych w cieniu drzew. Za każdym stołem siedziało paru Niemców i parę Niemek. Niemcy pili piwo, Niemki robiły północzochy, słuchając orkiestry, która grała wyjątki z oper, różne pieśni i tańce. Ona grała, oni pili i słuchali. Niemki, przebieierając szybko drutami, półdrygiwały na siedzeniu wtakt walców Straussa i Lan-nera. Nie pamiętam, ażeby w życiu ubawiło mnie co bardziej nad widok tych podrygujących Niemek. One się bawiły i ja się bawiłem. One przeniknio-

nemi były nawskróś wewnętrzną uciechą, której mimowolny a nieprzymuszony okaz był przezemnie podchwyconym, nie tak jak w Paryżu, gdzie okaz sam się narzuca i na cały głos woła: patrzcie na mnie!

To też Paryżanin prawdziwej zabawy szuka za Paryżem. Nie dla każdego jest ona przystępną, bo nie każdemu starczą na to środki. Lecz komu raz w życiu udało się być na wsi, posiedzieć godzinę na murawie, odetchnąć świeżem powietrzem i uśmieć się serdecznie, o! to ten nadzwyczajny wypadek tkwi do śmierci w jego pamięci, jako najrozkoszniejsze ze wspomnień.

To samo prawie powiedzieliby się dało i o naukach, tylko że przedmiot ten jest za poważnym, ażeby godziło się dotykać go pobieżnie i rzuciwszy o nim kilka zdań, do głębi go nie wyczerpnąć. Pozwolę więc sobie jednego tylko dotknąć szczegółu. Każda gałąź nauk posiada zakład lub wykład specjalny tak w Paryżu jak gdzieindziej. Zakłady te jedne są gorsze, drugie lepsze. W Paryżu powinny być najlepsze. Owóż tak nie jest. Kto szuka bądź istotnie doskonałego jakiego zakładu, bądź najlepszego wykładu jakowej umiejętności, znajdzie go gdzieindziej, nie w stolicy Francji, która w murach swoich zgromadziła wszystko, ale to wszystko, rozchwiane na części, przedstawia niedokładności i usterki, którym starano się i umiano gdzieindziej zapobiedz.

(Dokończenie nastąpi).

PIÉRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“

przez

Władysława S.

(Dalszy ciąg).

Nasz bohater opowiedział młodemu kuzynkowi symptomat, który go naprowadził na domysł, że Marynia ma usposobienie do choroby zabójczej i wskazał mu dlaczego do tej chwili nic począć nie mógł, chociaż od pierwszego ujrzenia córki pocztałtera myślał o tém jedynie, jak się z tego obowiązku wywiązać.

— Powiedz mi, panie Adamie, czy ten symptomat powtarza się często? — zapytał.

— Tak rzadko, — odrzekł Adaś, — że ja, co prawie codzień widuję kuzynkę, zauważył go dotąd nie mogłem, a byłbym pewno zauważył... bo musi być niezwykajnie piękna z tym rumieńcem... Oh, ale odtąd baczniej śledzić będę... tylko powiedz mi doktorze, czy to symptomat nieomylny?

— Niema w medycynie symptomatów, na którychby się niekiedy pomylić nie było można, — odpowiedział otwarcie Ludwik; — dlatego sztuka nasza jest trudną. Co do tegosymptomu, należy on wistocie do tak dalece ułudnych, że nawet naukowo że jedną ze wskazówek uznanym być nie mógł... Jeżeli jednak ten symptom ma miejsce u osób z usposobieniem dziecięcym, z konstytucją wątłą, jakkolwiek pozornie zdrową, jeżeli się powtarza często, jeżeli zwłaszcza inne oznaki zaczynają mu towarzyszyć, czego w obecnym przypadku szczęściem niema jeszcze, w takim razie lekarz, który tej wskazówki nie lekceważył, wdzięcznym tylko być powinien losowi, że mu ją spostrzedz pozwolił.

— Rozumiem cię, doktorze, — rzekł Adaś, — a teraz powiedz, jak działać zamierzasz?...

— Nie mogąc wiele, a nawet nie zrobić sam, dla powodów które ci są już wiadome. Zamierzyłem być twoim przewodnikiem, panie Adamie, i działać za pomocą twojego kuzynowskiego wpływu.

Adaś rzucił się na szyję doktora i mało go nie uduślił w uścisku.

Długo jeszcze trwała rozmowa, w której doktor wykladał młodemu kuzynkowi, czego piękna pacjentka strzedz się głównie powinna, jaki rodzaj życia prowadzić, jakie symptomata śledzić należy, ażeby nie pominąć pierwszej chwili, w której środki higieniczne i zapobiegawcze jużby konieczne trzeba było zamienić na systematyczne leczenie. Dalej poczynający praktyk wlewał w chłopca przekonanie o potrzebie najwyższej ostrożności i roztropności

w wykonaniu missyi tak delikatnej i tak niebezpiecznej.

— Pamiętaj, panie Adamie, — mówił, — że bierziesz na siebie trudny, jeśli nie niepodobny do wykonania obowiązek: być stróżem i przewodnikiem w życiu i czynnościach osób, które domyślić się nawet nie powinny, że czuwasz, a jeszcze bardziej dla czego czuwasz nad nimi. Będzie z miał do walczenia z uprzedzeniami ojca, które przez wzgląd na niego szanować należy, i z tym instynktem niezawisłości, który mimowiednie zachęcać będzie córkę do tego co jej zostanie odradzanem, i to nieraz bez dania słusznego powodu. Czy czujesz się na siłach do wypełnienia tego obowiązku?

Gdyby doktor w tej chwili zapytał się Adasia, czy czuje się na sile, dla ocalenia Maryni od grożącego jej niebezpieczeństwa, sprawić aby Pilica płynęła pod wodę, młody aplikant odpowiedziałby tak samo jak odpowiedział teraz:

— O! nietylko sił mi nie zbraknie, ale wiem nawet że to łatwo pójdzie.

— No, więc podaj mi rękę, słuchaj rad moich, i niech ci pan Bóg dopomoże.

Naturalnie, że po takiej rozmowie Adaś byłby się dał posiekać, wskoczyłby w ogień za doktora.

Powróciwszy do siebie, młody poeta zaczął rozbiierać i oceniać postępowanie Ludwika. Z tego rozbioru krytycznego wynioskował, że nowy doktor pilicki był rzeczywiście godnym pomnika.

— Co to za rozum! co za wiedza! co za takt w postępowaniu! — mówił do siebie. — I takiego człowieka.... nie! takiego męża, bo to nie człowiek ale mąż.... otóż takiego męża ja posądzałem o płochą miłość!.... On patrzył na nią oczyma doktora, ze stanowiska nauki, interesował się jej zdrowiem.... a ja! ja!.... niedorostek Adaś!... byłem zazdrosny!...

Nie mógł sobie wybaczyć biędny kochanek swojej zazdrości, jakkolwiek ona niestety nie była wcale bezzasadną.

Po chwili unosił się znowu.

— A jaka to troskliwość o pacjentów, jaka to gorliwość, jaka sumienność, jaka bezinteresowność, jakie serce!... złote serce!...

Poswięciwszy tak chwil kilka na żal serdeczny za niesłuszne podejrzenia, Adaś powziął mocne postanowienie nieograniczonem zaufaniem i najgłębszym szacunkiem odplacić doktorowi za wyrządzoną mu w zaślepieniu namiętnem obrazę, i zajął się całym planem przerobienia życia domowego Dziczów, według rad i wymagań Ludwika. Mianowany aniołem-stróżem zdrowia swojej bogdanki, młody chłopiec był dumny i szczęśliwy z tego stanowiska, na którym stanawszy, sądził że już przebył odrazu najmniej połowę tej niezmiernie długiej drogi, na końcu której dopiero młodzieńcza wyobraźnia jego pozwałała mu widzieć ołtarz, siebie, Marynię i księdza błogosławiącego obrączki.

Życie jego po za biurem, w którym zresztą bardzo niewiele miał roboty, podzieliło się odtąd między Dziczów i doktora. Na poczcie robił obserwacje i, gdzie mógł, złe reparaował, a medykowi zdawał ze wszystkiego sprawę, zasięgał rady i prowadził go nieraz na poczthalteryę, ażeby sam namiejscu mógł zbadać stan rzeczy.

Reformy zaprowadzone na poczthalteryi, któremi się Adaś pysznił przed doktorem, ograniczały się w istocie do bardzo niewielkich drobnotek.

Doktor radził między innymi unikanie pracy siedzącej, wiele ruchu, lecz nie posuniętego do zmęczenia, bo ostrożność przeciw zaziębieniom była jednym z najgłówniejszych warunków. Marynia większą część dnia przepędzała siedzący, to nad krosienkami, to z igłą, to nad książką, to wreszcie nad przepisywaniem referatów ojcowskich, którym pisarz nie mógł nigdy dać rady, nie był bowiem człowiekiem łatwo dającym się przekonać, że pisząc do urzędu pocztowego, *urząd* a nie *użont* pisać wypada.

Z tego wszystkiego Adaś zdołał usunąć tylko część ostatnią, zaproponował bowiem staremu Dziczowi, że będzie dla obeznania się ze służbą pod kierun-

kiem tak doświadczonego jak on urzędnika, pracował codziennie parę godzin w kancelaryi. Pan Jan, który kobięcej ręki do oficjalnej korespondencji tylko z ostatecznością używał, uważając niejako za profanację powierzanie białogłowom urzędowych sekretów, przyjął tę propozycją uszczęśliwiony, i Marynia uwolnioną została od *mundów*, ale zato podobno dłużej tylko nad krosienkami i nad szyciem odsiadywała.

Tak było prawie ze wszystkiem czego chciał Ludwik, a co Adaś zobowiązał się uroczyście wprowadzić w wykonanie.

Nad dyetą i ubiorem naprzykład było mu bardzo trudno rozciągnąć jakąkolwiek kontrolę, a tu tymczasem kuzynka lubiła *pasjami* zakazane surowo przez doktora kwasy, sznurowała się, jakkolwiek jej szczupła kibić sztucznych karbów nie potrzebowała, dlatego tylko że tak robiły wszystkie piliczanki, i uważała się za zbyt zdrową, żeby jej było potrzeba zabezpieczać się skrupulatnie od zgubnych wpływów jesiennego powietrza.

Martwiło to niezmiernie młodego kochanka i za każdą razą, kiedy swój trosce nie mógł sam dać rady, biegł do doktora i spowiadał się z niej, a młody doktor nie rozpraszał bynajmniej jego niepokojów, lecz owszem, zdawał się coraz wyraźniej spostrzegać że pośrednictwo Adasia, na które liczył tak wiele, spodziewanego rezultatu wydać nie będzie mogło.

I Ludwik pytał swych książek, swojej wiedzy; ale najslawniejsi autorowie, wertowani skrupulatnie, nie dawali sposobu wybrnięcia z trudności, a głowa młodego Eskulapa, na najściślejszą wzięta indagacją, nic wcale lub nie prawie poradzić nie mogła.

Ludwik zapytał swojego serca i to mu wskazało lekarstwo, którego raz tylko w życiu i dla jednej pacjentki mógł użyć. Młody lekarz w częstych wizytach na poczthalteryi starał się zbadać swoją pacjentkę, i zdało mu się, że do przyjęcia tego lekarstwa nazbyt wielkiego wstrętu nie okaże.

Adaś, poczciwy Adaś, nie domyślał się wcale, że pomnikowy mąż, o brylantowem sercu, myśli ofiarą tego serca kupić sobie prawo nieodstępnej pieczy nad drogiem zdrowiem swojej ukochanej pacjentki. W długich rozmowach, jakie niekiedy w jego obecności, a niekiedy nawet sam na sam, miał z doktorem z Marynią, zakochany poeta widział tylko patologiczną auskultacją i nie poważał się domyślać czegokolwiek więcej. Raz wytłumaczywszy sobie, że doktor jest przedewszystkiem doktorem, a jako człowiek posagowym mężem, nie śmiał nawet posądzać go o inne zamiary.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pismieniczny.

Teoria poezji, w związku z jej historią, opowiedziana przez Antoniego Bądkiewicza. Warszawa, nakładem J. M. Neumark.

Z ciekawością wzięliśmy do ręki książkę wyszłą pod powyższym tytułem. Tytuł ten obiecuje wiele, bo połączenie dwóch ważnych gałęzi umiejętności, t. j. estetyki poetyckiej i historii poezji. Tębar-dziej ciekawość nasza się powiększyła, gdy zaraz na pierwszych stronach przedmowy spotkaliśmy zapowiedzenie autora, że nam poda rzecz jakąś nową, a mianowicie że swoją teorią poezji oprze na innej podstawie i pójdzie drogą odmienną od dotychczasowych naszych pisarzy poetyki.

Autor wychodzi z tego punktu zapatrywania się, że dawniejsze dzieła tego rodzaju, jak J. F. Królikowskiego (1828 r.), J. Korzeniowskiego (1829), a nawet najświeższe z nich H. Cegielskiego, nie odpowiadają dzisiejszemu stanowisku umiejętności i stanowiu poezji, albowiem przy zmienionych warunkach umysłowości zasadzają się na tém, cokolwiek Arystoteles, badając dzieje greckiej poezji, za obowiązujące podał, a co następnie powtórzyli scholastyczni i pseudoklasyczni teoretycy, po największej części wypaczając i fałszując słowa swojego mistrza.

Nie sądzimy ażeby koniecznie tak było i nie możemy powtórzyć tego zdania za autorem, że poetyka po różnych losu kolejach trawestowana, nicowana

i kompilowana przez Horacego, Vida, Boileau, Des-préaux i tylu innych komentatorów i kompilatorów, w tych samych starych koturnach greckich doszła aż do dni naszych. "Czyni to wprawdzie chwałę geniuszowi Arystotelesa, iż postawił tak trwałe gmach filozofii, a zarazem wyciągnął z natury poezji prawa tak pełne prawdy, że ich ani doświadczenie późniejszych wieków, ani zmiana pewnych wyobrażeń dotychczas obalić i zastąpić innymi nie mogły; ale nie powinniśmy obok tego przemilczeć o zasłudze nowożytnych myślicieli i estetyków. Przypomnijmy sobie tylko, że w tej gałęzi filozofii imię Hegla ma także pewne znaczenie, przypomnijmy sobie, że wszelkie nowsze estetyki i poetyki nie ograniczyły się na sferze poezji starożytniej, lecz o ile podobne uwzględnienie jest potrzebne, poświęcały także swą uwagę duchowi romantycznemu i rozwojowi poezji nowożytniej. Jednym słowem, nie możemy się zgodzić z autorem, jakoby teoria poezji (a musimy przez to rozumieć estetykę i poetykę) pozostawała dotychczas na stanowisku scholastycznym, z którego dopiero podźwignąć ją trzeba.

Ale zkadże głównie przyszedł autor do podobnego wyobrażenia? Oto podział poezji na jej gatunki, przyjęty powszechnie przez poetyki, wydał mu się niedostatecznym, nieprawdziwym i przestarzałym, gdy dotąd „wałęją się tam jeszcze te rondo, madrygały, heroidy, dytyramby, których nikt ze znośnych poetów pisać nie będzie," a natomiast zauważył, że najlepsze nawet dzieło w tym rodzaju, H. Cegielskiego, pominięto zupełnie formy ludowej liryki naszej, jak krakowiaki, kołomyjki i t. p. Prócz tego podziały czynione przez te poetyki są zbyt liczne i po większej części niedokładnie rzecz oznaczające.

Autor postanowił zaradzić tym niedostatkom za pomocą metody historycznej, to jest rozważając rozwój poezji w jej porządku dziejowym i oznaczając przytęm jej rozmaite powoj.

Podobna myśl zasługuje ze wszech miar na pochwałę, wszelkie bowiem szukanie nowych dróg, prowadzi do postępu i popycha naprzód umiejętności. Dlatego winniśmy wdzięczność autorowi za ten zamiar i usiłowania, chociaż te, jak w przedmowie powiada, nie są jego oryginalnym pomysłem, ale z literatury obcych zostały zaczerpnięte. Czasy nasze, nacechowane widocznie realizmem i sceptycyzmem pod niejednym względem, mają upodobanie w podobnych próbach i w dowodzeniu abstrakcyjnych teoryj przez dotykające historyczne fakta. Pomiędzy innymi przypominamy tutaj Buckle'a, który radzi również filozofii wejść na drogę historyczną, jeżeli pragnie osiągnąć rzeczywiste rezultaty ze swoich usiłowań.

Jakkolwiek przyznajemy całą zasługę tej myśli autora, nie widziemy jednak w jego książce, aby ona w ten sposób, jak została przeprowadzona, wydała obfite owoce i zaprowadziła w teorii poezji radykalne odmiany. Owszem, odmian tych prawie nie dostrzegamy, nie widziemy zapowiedzianych rezultatów. Być może iż to jest skutkiem jedynie słabości naszego wzroku, ale uważamy za obowiązek wypowiedzieć szczerze swoje przekonanie. Albowiem to, że autor umieścił podział poezji na rodzaje nie bezpośrednio po wstępnych estetycznych uwagach i po metryce, ale przyłączył go do opowiadania historii poezji, przedstawiając te rodzaje w tym porządku jak się w dziejach pojawiały, nie jest bynajmniej stanowczą i istotną reformą w rozgatkowaniu poezji. Jest to odmienny system, ale tylko pod względem materialnym, co do miejsca i czasu, lecz nie co do treści i myśli. Podział poezji na rodzaje pozostał ten sam: znalazły się i w książce p. B. też same rondo, madrygały i t. p., które, jak z jego przedmowy wnosiliśmy, pragnął raz na zawsze z poetyki wyrzucić. Dodanie zaś form narodowych, krakowiaki i t. p. nie jest tak ważnym nabytkiem i bezpotrzebnie pomnaża liczbę drobnych podziałów, które wprowadzają do estetyki pewien chaos, a ostatecznie nigdy rzeczy do gruntu nie wyczerpną. Ręczymy bowiem naprzód, że nie jeden jeszcze naród mógłby się upomnieć u autora o pominięcie tej albo owej formy swojej klechdy albo piosenki.

(Dokończenie nastąpi.)